ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO KULTURALNY

ROK III Nr 9/88 | Londyn, dnia 27 lutego 1949 | CENA 9d.

WOJCIECH WASIUTYŃSKI

O GRZESZNYM SMUTKU

W „ŻYWYCH KAMIENIACH“ Wacław Berent poświęca parę stron opisowi grzechu, znanego teologii katolickiej a dość rozważanego w średniowieczu, a mianowicie — smutku. Grzeszny smutek nie jest „zwykłym“ smutkiem, który ma swe uzasadnione źródło w jakichś przeżyciach i charakter przejściowy. Grzeszny smutek jest trwałym stanem duszy. Zabija wolę, budzi pobłażliwość dla innych grzechów, rodzi obojętność na zło i dobro. Jest on zaraźliwy.

Nie bez zdziwienia wyczytałem niedawno w jednym z tygodników angielskich wywód na ten sam temat, ilustrowany cytatami z Chaucera i innych średniowiecznych poetów angielskich. Autor twierdził, że grzech smutku szerzy się obecnie w Wielkiej Brytanii i nieświadomie ulega mu masa Brytyjczyków. Wzywał też do przełamania tego nastroju i do aktywnej postawy życiowej.

Jest w tym stwierdzeniu o atmosferze angielskiej coś prawdziwego. W chwili gdy to piszę, tracę świadomość czy to wszechobecna mgła angielska wciska się do pokoju przez zamknięte okna, czy też smutek. Mgła pozostawia czarne, brudne plamy na bieliźnie, na podłodze, ciemny osad na szybach i ramach okiennych, subtelną duszność w drogach oddechowych. Przejście grzesznego smutku pozostawia podobne ślady, może mniej uchwytne, ale jeszcze trudniejsze do usunięcia.

Środowisko polskie w Brytanii nie jest gorsze niż w innych krajach. Wydaje mi się nawet, że jest mniej zdemoralizowane, że większy wśród niego odsetek ludzi myślących o sprawie publicznej, większa dojrzałość i sumienność. Ale pod jednym względem wszystkie inne środowiska polskie, nawet te najgorsze, najbardziej zdemoralizowane, rozpieniaczone, rozhandlowane i egoistyczne, wyróżniają się korzystnie od środowiska brytyjskiego: są żywsze, mniej ponure, nie są ogarnięte grzechem jałowego smutku.

Jest bowiem i smutek płodny: ten, który wynika z żalu własnych błędów a prowadzi do nowej działalności. Przeciwnie smutek grzeszny: płynie z beznadziejności i utrwala bezczynność. Smutek grzeszny przepojony jest zawiścią; cudze szczęście powiększa go tylko, cudze nieszczęście daje uczucie chwilowego zadowolenia. Jedną ze stron takiego złego smutku zna medycyna i nazywa abulią czyli chorobą zaniku woli. Inną stronę tego zjawiska duchowego zna literatura rosyjska i nazywa chandrą. Ale smutek grzeszny jest szerszy i głębszy niż oba te pojęcia. Jest w nim jakaś nuta satysfakcji z upodlenia wobec przemożnego zła rządzącego tym światem.

Smutek taki nie ma nic wspólnego z pesymizmem. Chrześcijanie bywali pesymistami i optymistami. Jedni święci żyli w stanie ustawicznej, wielkiej, mistycznej radości, jak Franciszek, inni w poczuciu grozy zła i jego mocy, jak Sienkiewiczowski Kryspus, jak Wincenty Ferreriusz. Ale ci ostatni nie byli smutni: byli gwałtowni, namiętni, bojowi, przejęci i podnieceni; przeklinali, ale nie wzruszali ramionami: bywali przerażeni i zagniewani, ale nie pogodzeni ze swoim smutkiem, nie znajdowali w nim ponurej satysfakcji.

Człowieka świeżo przybyłego poznać można wśród Polonii brytyjskiej po tym, że jeszcze mu się chce coś robić, że jest dostępny uczuciom czci i oburzenia. Po kilku miesiącach pobytu, najdalej roku, popada w grzech smutku, który skuł dusze jego rodaków. Już niczego nie chce, a zacznie nawet znajdować niezdrową przyjemność w wyszukiwaniu coraz to nowych powodów swego smutku, w faktach potwierdzających beznadziejność nastroju. Smutek staje się jednym z obowiązków dobrego wychowania, stanem obowiązującym, konwenansem. Mówienie o rzeczach pogodnych zakrawa niemal na nieprzyzwoitość.

Istotnie, my wszyscy jako całość i każdy z nas dla siebie uzasadnione podstawy do martwienia się. Ale oprócz tego smutku rzeczowego, obiektywnego i uzasadnionego w dużej mierze, poddajemy się dodatkowo nie tylko nastrojowi tradycyjnego angielskiego spleenu, ale ponadto otwieramy szeroko wszystkie pory duszy na miazmaty smutku grzesznego, szalejącego dziś nad Europą. I czy tylko nad Europą?

Po pierwszej wojnie światowej opanował cywilizowaną ludzkość nastrój użycia: bzdurne piosenki, sceny rewiowe, koktajle, niewyszukana nieprzyzwoitość, moda na zboczenia, szał dancingów. Było to dość gwałtowne ale nie głębokie i przeszło w kilka lat. Znaleźć w tym można było jakby echo tej pląsawicy, szału tańca, który opanował Europę 14 wieku po przejściu epidemii Czarnej Śmierci. Po drugiej wojnie światowej próżno by szukać podobnych nastrojów. Wręcz przeciwnie nastrojem dominującym jest przejmujący smutek. Nie jest to strach przed bombą atomową ani strach przed bolszewizmem, jest to smutek paraliżujący wolę. Wykrzywia on grymasem usta mężów stanu, sprawia, że studenci smutniejsi są od profesorów, a noworodki mało płaczą, tylko patrzą na świat nieruchomym wzrokiem. To nie pląsawica, to melancholia ogarnęła świat po drugiej wojnie narodów.

Najgłębszym może wyrazem literackim tego nastroju był cykl przejmujących wierszy, ogłoszonych przed rokiem mniej więcej w Kraju pod pseudonimem Jan Smutek.

Nie piszę tego w przekonaniu, że zachęcę kogokolwiek do pogody, bo wiem, że tego artykułem zrobić nie można. Ale myślę, że samo nazwanie zła, samo wskazanie choroby, może być pożyteczne. Smutek może być grzechem i wtedy trzeba z nim walczyć, jak sie walczy z grzechem: wiarą, ćwiczeniem woli, modlitwą. Ze zwykłego smutku można się otrząsnąć, z grzechu smutku trzeba wyjść.

Kto zacznie walkę z tym grzechem, kto rzuci hasło? Pytam,... bom smutny i sam pełen winy...

Wojciech Wasiutyński

JERZY DOŁĘGA-KOWALEWSKI

PRZYZWYCZAJENI

„Malheur aux âmes habituées“.
H. Bergson.

Zdziwionymi oczami na świat
patrzą: dzieci i śmieszni poeci.
Umówmy się. Jest tak –
przecie:

My
obracamy się w świecie –
przyzwyczajeni
to wszystko na codzień mieć.
I tylko — jedno zdziwienie,
o którym się zamilcza:
gdzieś u mety szybkiego biegu –
krótki moment jedynego „dlaczego“ –
śmierć.

Tymczasem
trzeba być dorosłymi ludźmi,
nie unikając „wzruszeń“
(szczególnie — wzruszenia ramion).
— Ach, umiemy, wiemy, powróćmy
do konkretu.
I pozostawmy — dzieciom
oczy zdziwionych poetów:
światem –
i nami.



GEORGE BERNANOS
(Patrz artykuł na stronie 2)

REALIZM NADZIEI

STRASZNA jest nasza epoka. Nie łatwo zachować dziś przytomność i wolę spokojną.

Wszystko powstaje; wszystko jest w trakcie tworzenia; nic nie ma skończonego; nic uleczonego. Piętrzą się systemy. Luzują się plany. Lecz oto także wyścig klęsk i przewrotów. Gdy dzisiaj w jednym miejscu zdaje się panować ład, wiemy, że został już zakwestionowany gdzieindziej. Wczoraj wojny i już się przebąkuje o wojnach jutrzejszych. Opinia świata chwieje się jak wahadło między obu szaleństwami. Są tacy, którzy ten absurd podnieśli do rangi systemu: przytłaczająca większość ludzi widzi w nim źródło rozpaczy. Nie mogą się pocieszyć po rozsypce marzeń, jakie roili o postępie nieograniczonym. Wnioskują stąd, że już niczego nie można się spodziewać po świecie, w którym człowiek nie jest dobry i rządzi ślepy los.

OCZEKIWANIE I NIEPOKÓJ

Najtragiczniejszym aspektem niedzieli współczesnej jest jej milczenie. Miliony cierpią. Miliony nie spodziewają się niczego, krom cierpienia. Nie skarżą się. Nie dziwią się. Milczą. Panuje dziś na świecie tajemnicze milczenie, które przypomina groźną ciszę, rokującą burzę. Każdy odczuwa ten niepokój. Każdy się z nim kryje. Ale on trwa. Ilu jest takich, co w bólu i milczeniu gotują się na przeraźliwe jutro? Ilu jest takich, którzy gniewają się, gdy ktoś im powie, że nie jest ono jeszcze nieuniknione? Gdy smutek ten ogarnia ludzi, nie znających ewangelii, wielkie to nieszczęście. Gdy dosięga chrześcijan, staje się skandalem.

ZBAWIENIE W BOGU

My wiemy, Bracia najmilsi, że to wam nie grozi. Nie zamkniecie waszych serc w obliczu tej udręki uniwersalnej, tej krwi, wciąż jeszcze przelewanej, tej rozrastającej się nędzy. Jużeście sobie uświadomili niedolę braci waszych, która dosięga i was, która i wam sprawia ból dogłębny. Cierpicie poto, by lepiej móc współcierpieć.

Lecz oto jaki stąd narzuca się wam morał: człowieka nie może zbawić tylko człowiek. Nie przeto, jako by jego wysiłek dążący do postępu, do uzdrowienia, był płony: wyłożyliśmy doniosłość ludzkich zadań. Ale zło trzeba uleczyć u samego korzenia. Iż zaś chorobą świata nie jest dezercja człowieka, lecz nieobecność Boża, konkluzja stąd oczywista: trzeba wrócić do Boga. To też apel, jaki skierowujemy do was, wzywa was do pełnej wiary, zaprasza do działania.

APEL DO DZIAŁANIA

Do działania, jako że wy nie macie prawa, jak ci, co w nic nie wierzą, czekać na zdarzenia, gdy one to czekają na was.

Jest to zaiste apel do działania; niechże ten powrót do Boga nie będzie dla nikogo pretekstem do bezczynności lub okazją do krytykowania tych, co działają! Pamiętajmy, że wiara bez uczynków jest martwa! Nie o to chodzi, żeby zwolnić tempa, wręcz przeciwnie, trzeba angażować się do dna, i wszędzie, gdzie się da. Dziś, gdy świat skierowuje wejrzenie na chrześcijan, a Kościół na swych synów, jakże mogliby oni zawieść tak ufne wyczekiwanie, tak żarliwą nadzieję? Zarówno kapłani jak i ludzie świeccy stoją wobec zadań, które apelują do wszystkich ich zasobów kochania, działania i służby ofiarnej.

APEL DO WIARY

Ale przede wszystkim zwróćcie się ku Bogu przez wiarę. W nim pokładamy całą naszą ufność. My wiemy, że historia nie jest ani bez sensu, ani nieunikniona, że nie rządzi nią ślepy los. My wierzymy w Opatrzność. My wiemy, że triumf zła nad dobrem nie jest wieczny: wierzymy w Jego sprawiedliwość, w Jego dobroć. My wiemy, żeśmy słabi, ale i to wiemy, że On jest mocny.

Naczelnym waszym zadaniem, w chwili obecnej, jest modlitwa. Nie zniechęcajcie się, mimo pozornych milczeń Pańskich! Działajcie tak, „jak gdy by modlitwa nie wystarczała”, módlcie się tak „jak gdy by działanie było nieużyteczne”.

W NADZIEI

Tak więc, zamiast przerzucać się z jednej ostateczności w drugą, zamiast być igraszką propagandy i proroctw pesymistycznych, nie będziecie nigdy ludźmi małej wiary (Mat. XIV, 31). Słuchajcie, oto do was, do waszych serc skierowują się dziś płomienne słowa Proroka Izajasza: „Nawróćcie się do mnie, a będziecie zbawieni, wy wszyscy co zamieszkujecie ziemię: bom ja Bóg i niemasz innego” (Iz. 45, 22). Tak jak ludowi izraelskiemu, potężny głos proroka przypomina wam, że nie winniście pokładać nadziei ani w Asyrii, ani w Egipcie, lecz tylko w jednym Bogu (Iz. 28, 33).

W obliczu wzrastających niebezpieczeństw chrześcijanie nie zgodzą się nigdy na to, żeby zredukować tragedię współczesną li tylko do czysto ludzkich konfliktów: co nie znaczy, jakoby mieli lekceważyć doczesne środki zaradcze, skądkolwiek by szły, czy to z wewnątrz, czy też z zewnątrz. Ani na jednej ani na drugiej półkuli nie będą szukać oparcia: sprawdziliby rychło, że takie fortyfikacje walą się z kolei, pozostawiając po sobie wi cej gruzów, niż kryły złudzeń. Przed sobą i ponad sobą szukać będą światła i mocy. W Bogu znajdą lek na trapiące ich nieszczęścia i tajemnicę nowej przyszłości. Rzuceni przez Opatrzność na rubieże świata, kędy ścierają się ze sobą i krzyżują dwie cywilizacje, potrafią wybrać, przedkładając nad zawodne, ludzkie obietnice, rękojmię i realizm nadziei.

† Emanuel Kardynał Suhard
Arcybiskup Paryża

G. KACZANOWSKI

CZY SZTUCZNIE WYWOŁANO ZABURZENIA PSYCHICZNE U KARDYNAŁA MINDSZENTY?

CAŁY świat zachodni głęboko jest poruszony sprawą Kardynała. Sypią się domysły i przypuszczenia, co z nim zrobiono. Spróbujmy rozpatrzyć sprawę z punktu widzenia psychiatrycznego*) Zestawmy wpierw materiał, który mamy do dyspozycji. — Dzięki zapobiegliwości komunistycznych władz węgierskich wiadomości o procesie są skąpe — może jednak wystarczą nam do ustalenia kilku pewników.

Kardynał Mindszenty do niedawna był silnym i zdrowym mężczyzną. Jeżeli w stosunkowo młodym wieku został biskupem i kardynałem, możemy mieć pewność, że cechowała go wybitna inteligencja, bardzo wysoki poziom etyczno-moralny i silny charakter. Przed aresztowaniem napisał znany list, w którym oświadczył, że ewentualne jego przyznanie się do jakiejś popełnionej winy będzie albo sfałszowane albo „rezultatem ułomności ludzkiej."

W 40 dni po zamknięciu w więzieniu, Kardynał odwołuje poprzednie swoje oświadczenie, bo „widzi obecnie różne rzeczy, których przedtem nie widział". Przyznaje, że jest winny czynów, o które został oskarżony na podstawie kodeksu karnego, to znaczy przede wszystkim spiskowania przeciwko republice i szpiegostwa. Równocześnie jednak na rozprawie oświadcza: „Nie mogę zgodzić się z wnioskami aktu oskarżenia, jakoby moja działalność miała na celu spiskowanie dla obalenia demokratycznego rządu republiki węgierskiej." Na początku rozprawy odczytano list kardynała do ministra sprawiedliwości, w którym Kardynał prosił, aby sprawę wycofano z przewodu sądowego, bo — Kardynał chce „wziąć udział w realizacji pokoju między Kościołem i Państwem". Zapytany na rozprawie, czy ktokolwiek zmuszał go do przyznania się do winy, Kardynał podaje do mikrofonu, że nikt go nie zmuszał. Kilka dni przed rozprawą sądową Kardynał starał się wysłać z więzienia list do posła U.S.A. w Budapeszcie z prośbą o pomoc w ucieczce. Fotografie z rozprawy sądowej wykazują, że Kardynał ma wyraz twarzy pełen lęku i depresji, widać z postawy jego i układu rąk, że jest w stanie napięcia nerwowego i zahamowania psychomotorycznego. Kardynał Spellman w swoim kazaniu z dnia 6. lutego br. podaje, że zdrowie Kardynała Mindszenty zostało zniszczone ponad wszelką wątpliwość.

Analizując powyższy materiał możemy twierdzić z całą pewnością, że z Kardynałem Mindszenty coś się stało, że w ciągu kilku ostatnich tygodni wybitnie zmienił się, a mianowicie stał się człowiekiem chorym i to psychicznie chorym. O jego zaburzeniach psychicznych świadczy wybitny brak krytycyzmu. spowodowany zaburzeniami kojarzeniowymi i nielogicznymi, katatymicznymi procesami myślowymi. To są objawy rzucające się w oczy, gdy się czyta sprawozdania z procesu, niewątpliwie możnaby znacznie więcej ich znaleźć, gdyby isniała możliwość badania go psychiatrycznego.

— Czy człowiek inteligentny, znający metody wschodnie, bo przebywający już kilka lat pod okupacją komunistyczną, może przypuszczać, że jakikolwiek list od tak znakomitego więźnia do posła innego kraju będzie wyekspedjowany z więzienia? Czy Kardynał przy zdrowych zmysłach mógł mieć pewność, że może zaufać komukolwiek w więzieniu? A musiał mieć tę pewność. jeżeli napisał tak obciążający list. Zdaje się, że w tym punkcie programu **fachowcy węgierscy od spraw procesów pokazowych zagalopowali się.** A co oznacza sprzeczność w samym przyznaniu się do winy, gdy Kardynał równocześnie oświadcza, że nie dążył do obalenia ustroju? Przypuszczalnie są to zaburzenia kojarzeniowe. Jaki cel mógł mieć Kardynał, prosząc ministra sprawiedliwości w swoim piśmie o wycofanie sprawy sądowej? Gdyby był w pełni władz umysłowych, to wiedziałby, że prośba taka jest niedorzeczna i napewno nie będzie spełniona. Natomiast w tym liście oprócz braku logiki przejawia się katatymiczne marzenie Kardynała, który pragnie już tylko — spokoju, a jak bardzo identyfikuje pokojowe stosunki między Kościołem i Państwem — ze swoją własną najgłębszą potrzebą spokoju, to wynika ze słów: „Chcę wziąć udział w realizacji tego pokoju". Gdyby był zdrów, to zdawałby sobie sprawę z faktu, że po przyznaniu się do tak ciężkich przestępstw nie posiada już żadnych szans na pełnienie jakichkolwiek poważnych funkcji publicznych.

Do jakiej grupy schorzeń psychicznych można zakwalifikować cierpienie Kardynała Mindszenty?

By na to pytanie dać ścisłą odpowiedź, należałoby mieć więcej materiału chorobowego do dyspozycji. Sprawa robi wrażenie stanu paranoidalnego, czyli obłędu, który cechuje się urojeniami, w danym wypadku urojeniami przestępczości. W każdym zakładzie psychiatrycznym spotyka się takich chorych, którzy oskarżają się o różne przestępstwa i czasem takie urojenie jest głównym symptomem, na którym opiera się cała budowa ich dla laika zupełnie logicznie powiązanych myśli psychotycznych. Urojenia powstają zawsze na tle ciężkich zaburzeń efektywnych. Patologiczne tendencje afektywne uniemożliwiają normalny przebieg asocjacji myślowych i wskutek tego dochodzi do nielogicznego, bezkrytycznego, osądzenia rzeczywistości.

W jaki sposób doprowadzono Kardynała Mindszenty do takiego stanu patologicznego? Oczywiście teoretycznie możnaby uwzględnić hypotezę, że Kardynał akurat w czasie swego uwięzienia mógł zachorować na paranoię, pojawiającą się właśnie najczęściej u ludzi w jego wieku. Przeciwko temu jednak przemawia zbyt krótki okres czasu, spędzony w więzieniu, obłęd rozwija się bowiem powoli i stopniowo. Pozatym zbyt podobne jest przyznanie się Kardynała do winy do tego samego obrazu, jaki widzieliśmy w wielu innych procesach pokazowych, zorganizowanych przez władców komunistycznych.

Jakich więc sposobów użyto, by zniszczyć zdrowie Kardynała i spowodować u niego chorobę psychiczną? Czy to były jakieś leki trujące, czy męczarnie specjalne, czy hypnoza? Kardynał Mindszenty twierdził, że nie zmuszano go do aktu przyznania się, i należy przyjąć, że Kardynał sam w to wierzy, co mówi, tak samo, jak z całą pewnością wierzy w swoją jakąś winę. Wiara ta może być patologiczna, nie mniej jest ona realna. Na doprowadzeniu do tej wiary polega całe mistrzostwo metod śledczych. Sędziowie nie potrzebowali się obawiać, że coś nie będzie funkcjonowało na rozprawie, spokojnie mogli mu kazać mówić do mikrofonu.

Środki farmaceutyczne, przy pomocy których można zmusić człowieka do wyjawienia ukrywanej prawdy, istnieją, do nich należy n.p. penthothal, stosowany powszechnie do narkoanalizy. Ale sądzimy, że tym sposobem można wykryć kłamstwo i wydobyć prawdę, natomiast nie można tworzyć urojeń, pozatym działanie tych środków mija dość szybko i nie wywołuje żadnych trwałych zmian psychicznych. Jeżeli więc stosowano te środki u Kardynała, to chyba tylko w pewnym początkowym okresie procedury przygotowawczej i raczej tylko jako środka pomocniczego dla ułatwienia działania hypnotycznego i sugestywnego. Ogólnie przypuszcza się, że stosowano rozmaite inne środki, jak benzedrinę lub actedron, skopolaminę i może również insulinę. Możliwość ta istnieje, ale znowu z tym zastrzeżeniem, **że same te środki nie mogły wywołać takiego stanu patologicznego**, w jakim Kardynał się znajdował; raczej mogły to być środki pomocnicze.

Nie znamy zbrodniczych metod, zastosowanych u Kardynała Mindszenty'ego i tylu innych oskarżonych i doprowadzających ludzi zdrowych do stanu psychotycznego. W chwili obecnej **możemy się tylko domyślać tych metod.** Przypuszczalnie w ruchu był **cały arsenał środków.**

Należy do nich prawdopodobnie w pierwszym rzędzie wyrafinowana technika psycho-analityczna. Można w ten sposób odkryć u każdego. nawet najwyższej miary etycznej człowieka głęboko w podświadomości tkwiące i uszłe dawno z pamięci lub nawet nigdy nieuświadomione takie pierwotne upodobania i tendencje, że człowiek normalnie wrażliwy przeraża się ich straszliwie, gdy zostaną mu ujawnione w całej grozie i gdy je poznaje jako swoje własne, autentyczne, wytwory psychiczne. Na tym polega zresztą niebezpieczeństwo nieostrożnie prowadzonej psycho-analizy lekarskiej.

Jeżeli ktoś celowo w tych głębiach psychicznych grzebie, łatwo sobie wyobrazić, ile szkody może wyrządzić normalnej dotąd psychice ludzkiej. Do tego dodajmy działanie silnej, bezwzględnej sugestii, ewentualnie hypnotycznej, wpływ różnych środków farmaceutycznych na układ nerwowy wegetatywny, który reguluje procesy afektywne, działanie długotrwałej bezsenności, silnego oświetlenia i innych męczarni. Wszystko to razem niewątpliwie może wywołać zaburzenia psychiczne. Gdy podkład był gotowy, fachowcy komunistyczni musieli już tylko wytworzyć takie urojenia, jakie im były potrzebne. Udało im się to prawdopodobnie za pomocą psycho-analizy i sugestii. Wykorzystano w tym celu istniejącą u Kardynała **najsilniejszą tendencję afektywną, mianowicie jego głęboką religijność i gorące przywiązanie do Kościoła. Te elementy**, jako najbardziej sublimowane, a według szkoły psycho-analitycznej wywodzące się z kompleksu Edypa, mogły doznać strasznego wstrząsu w czasie psycho-analizy i z powstałego konfliktu afektywnego mogły — przy „uczynnej" dalszej „pomocy" specjalistów — wyłonić się potrzebne na rozprawie urojenia przestępczości. Postępowanie takie wydaje się być możliwym tylko u ludzi wysoko stojących pod względem intelektualnym i moralnym, u ludzi miernych i o słabym charakterze przypuszczalnie nie byłoby tak łatwo wywołać tym sposobem prawdziwej reakcji psychotycznej.

Istnieje pozatym możliwość, że przy sztucznym wywoływaniu psychozy mają zastosowanie wyniki eksperymentów nad odruchami warunkowymi. Eksperymenty te prowadził Pawłów i jego szkoła. Pawłów był uczonym rosyjskim światowej sławy, który zmarł kilka lat przed ostatnią wojną. Po jego śmierci rozeszły się wiadomości także o jego prywatnym życiu i wówczas — na szereg lat przed wojną — opowiadano, że Pawłów do końca życia chodził codziennie modlić się do cerkwi, w domu miał ikony i obrazy swoich ukochanych carów, nic to bolszewików nie raziło, nawet syn jego, emigrant w Paryżu, otrzymał zezwolenie na powrót do Rosji, by opiekować się starym ojcem. Tak bardzo bolszewicy szanowali starego Pawłowa, ale każdy, kto ich zna, rozumie, jaki był tego powód: potrzebowali jego badań.

Dokończenie obok

*) **Autorem artykułu jest lekarz neuro-psychiatra.**

MATEUSZ DŁUSKI

B E R N A N O S

ZAPEWNE był to wówczas pierwszy egzemplarz „Sous le Soleil de Satan", Bernanosa, który zawitał do przedwojennej Polski, („Pod Słońcem Szatana"). Mieszkałem wtedy w 1926 r., pod Warszawą, w odosobnionym domku pewnego klasztoru, gdzie byłem gościem. Jacques Maritain był tak łaskaw, że kazał mi przysłać dla ugruntowania naszej biblioteki Wiedzy Religijiej ukazujące się tomy swego wydawnictwa „Le Roseau d'or" („Złota trzcina") — którego nazwa przypominała myśl Pascala o człowieku, że „jest to tylko trzcina, lecz trzcina myśląca" i przeciwstawiała się „Złotej gałęzi" religioznawczych czynów Frazera. Tak więc Bernanos przysłał mi autorski, piękny egzemplarz, opatrzony własnoręczną dedykacją.

Bernanos, wtedy blisko czterdziestoletni „młody autor", nieznany przedtem nikomu, nie figurował na tych spisach autorów francuskich, zwłaszcza katolickich, które mi były dostępne. Napisałem mu obszerne podziękowanie, Nie wiem, czy je dostał, bo nigdy mi nie odpowiedział. Jego tak głośne dzieło uważałem jakby za własny argument, za coś, co przynosiło mi pomstę nad wszystkimi negatorami realnej rzeczywistości sił nadprzyrodzonych i niecodziennie przyrodzonych, otaczających nas światem niewidzialnym tak w złym, jak i dobrym znaczeniu.

Swym dziełem Bernanos przywraca niezbicie światu literackiemu świadomość, że szatan jest. Ach, jakże bardzo jest! Wszak słusznie mówiono, że aby wypaczyć odpieranie jego zakusów, to wyolbrzymiał swoje znaczenie w pewnych stuleciach, to znowu je umiejszał aż do zaprzeczania swej obecności i działalności. Otóż powieść Bernanosa była tak potężnym zdarzeniem literackim na miarę światową, że odtąd nie można go było nie dostrzegać, negować z uśmieszkiem politowania — jak to czyniono poprzednio—jego istnienia. Był przynajmniej jako przeżycie literackie, był w afirmacji i niedwuznacznym wyznaniu i stwierdzeniu wielkiego pisarza. Tym pierwszym swym dziełem, Bernanos postawił się prawie że ponad ówczesnych literatów, w każdym razie stanął pierwszy w ich rzędzie.

Przyznać się muszę, żem nigdy Bernanosa nie umiał wyczytać całkowicie. Bo to tak, jak z Dostojewskim, z którym stoi w bezprzecznym kontakcie, jako jego **katolicka** replika: początek cudowny, a potem zaczyna się trzęsawisko męczące, że nie sposób dalej czytać.

Dostojewskim zainteresowałem się szczególnie w 1918 roku, w Szwajcarji, kiedy zwróciłem oczy na Wschód i jego problemy w związku z całokształtem zagadnień Kościoła. Potem, już w Polsce klarował mi go Rafał Marcelі Blüth, ten charakterystyczny konwertyta z judaizmu i wybitny a skromny człowiek. (Terlecki poświęcił mu sporo miejsca w „Stratach kultury polskiej"). I u Dostojewskiego jest diabeł, B i e s, demonicznie rozchełstany, S z a t a n Bernanosa jest bardziej precyzyjnie przewrotny i inteligentny.

Jeden wciąga litością niemal, niedolą swą, drugi kładzie, usiłuje kłaść rękę na dobytku dobra duchowego, przywłaszczyć je dla siebie, utrącając jego wartości. Jeden chce zatopić w swej nicości, drugi zaś usiłuje przewrócić, zmocować pod swą władzę…

Blüth, z którym kiedyś byłem w bardzo bliskich stosunkach—przygotowywałem go miesiącami do chrztu, własnym, że tak powiem systemem — Blüth był głęboko wstrząśnięty Bernanosem, gdy przeczytał polskie wydanie. Zapewne musiał się z nim spotkać,gdyż pojechał potem do śnionego Paryża. Były bowiem takie kółka i kółeczka, które zapewne znajdą później swe echo w dziejach społecznych najnowszej myśli pisarskiej polskiej. Lecz nazwiska nie są pożądane obecnie…

Dyskutowano o Bernanosie wszędzie, we Francji jak i w Polsce. I w Polsce bogobojne duszyczki zarzucały mu „niezdrowość". Myślę, że pomimo ułomności ludzkiej, u każdego pisarza widoczniejszej niż u człowieka, który nie pisze, Bernanos był równie zdrowy, jak katechizm, który wszak uczy nazywać brzydkie rzeczy i o nich cośkolwiek wiedzieć. Był, zdaje mi się, że można go tak nazwać, **Zolą nadprzyrodzoności**, świata niewidzialnego, a jakże realnego.

Tak, jak Zola chciał sprowadzić wszystko do zoologji ludzkich instynktów, muskułów, odruchów indywidualnych czy gromadnych i robił to z nakładem wielkiego, pracowitego starania, nazwanego „naturalizmem" — podobnie Bernanos zawsze zajęty wyjawianiem tego, co się za światem tej rzekomej zwierzęcości ludzkiej kryje, w sposób niezwykle dobitny, „bez wstydu", bez kompromisu nazywał po imieniu i wymalował mniej w opisie ile w świadomości i doświadczeniu czytelnika to, co przenika te skurcze ludzkiej materii i nadaje każdemu z nich zupełnie inne, niż zoologiczne znaczenie. Mistycy są realistami i Bernanos nim był.

Nie sposób było mi, powtarzam, wyczytywać go w całości. „Radość", wydana już po angielsku, po polsku nie ukazała się . Czytałem ją urywkami we Lwowie… Jest to historia, godna Bensona, tylko, że Benson jest poduszkowo-salonowy wobec tych postaci ciosanych w starodrzewie. Historia duszy, która poświęca się całkowicie na poniewierkę, jeżeli Bóg tak zdarzy, by odkupić duszę zatwardziałego pychą kapłana, co stracił wiarę. Portret słynnego Loisy… I tu są rzeczy, których się nigdy nie zapomina, bo zdarzają się, jak tamte codzień w naszym życiu i doświadczeniu, choć nie zapisane pod widocznym nagłówkiem. „Dziennik wiejskiego proboszcza"? I tego nie przeczytałem stronica po stronicy. Są głębie, na które dość popatrzeć. Wystarczy, by zmierzyć ich otchłań.

Bernanos nie był odkrywcą opisywanych przez siebie tematów. Zawsze można znaleźć mu przesłańców. Tak, jak najwięksi, Dante, Szekspir, czy inni opracował już istniejące, czyli utrwalił w sposób nie do zatarcia tradycję ludzką i jej najgłębszą zawartość. I mniemam, że lektura Bernanosa należy do tych, które jak lektura Dantego, Życie św. Katarzyny Sieneńskiej, św. Joanny D'Arc; jak ten czy ów traktat Ojców Kościoła; jak w literaturze polskiej „Quo Vadis" (mimo swych odchyleń i uszczerbków); jak spotkanie się z postacią i myślą Newmana: nigdy już więcej nie wyjdą ze skarbca nie tylko pamięci ale istoty życia czytelnika. Jaki by nie był analityczny, szczegółowy osąd Bernanosa, sądzę, że nie można żadnemu pisarzowi zrobić większego komplementu.

Bo nie mazał papieru, lecz sprawdzał dobitnie prawdziwe, realne życie i jego tajemnice: boskie, ludzkie — i te poniżej człowieka, choć niby to wyrywające się w zwyż…

Mateusz Dłuski.

W. A. ZBYSZEWSKI

NAWRÓCENIA

NAWRÓCENIE jest przede wszystkim dziełem Łaski, zjawiskiem indywidualnym, wypadkiem doniosłym w życiu jednostki. Nawrócenie św. Pawła czy św. Augustyna słusznie uchodzą za daty przełomowe w dziejach ludzkości. Ale pozatem nawrócenia są zjawiskiem ilościowym, statystycznie ująć się dającym a doniosłym dla obrazu postępów wiary i witalności Kościoła w poszczególnych krajach.

Świeżo ogłoszone dane przez „Catholic Directory for England and Wales“ za rok 1947 (są one zawsze o rok spóźnione) podają cyfrę nawróceń w Anglii w roku pozaprzeszłym na 10.546, zaledwie o 250 wyższą niż w r. 1946. Dane te są ogłaszane od r. 1911. Jest rzeczą ciekawą, że bardzo szybko cyfra tych nawróceń ustaliła się mniej więcej na 10 tys. rocznie, nigdy nie przekroczyła 12½ tys., nigdy nie spadła poniżej 8½ tys., przeciętnie utrzymuje się na tym samym poziomie 10 tys. z okładem. W ciągu ubiegłych lat 36, za które ogłoszono statystyki, ogólna ilość nawróceń w Anglii wyniosła 360 tys. Liczba ta nie jest zupełnie ścisła, ponieważ jest rzeczą znaną, że pewna ilość nawróceń, zwłaszcza wśród zamożniejszych Anglików, ma miejsce zagranicą, głównie we Włoszech. Ale ogólnego obrazu to nie zmienia.

Jest wiadomem, że konwertyci stanowią główny trzon bojowego katolicyzmu w Anglii, oni dostarczają najwybitniejszych duchownych, pisarzy katolickich, najhojniejszych fundatorów i t.d. Nawet te drobne grupy dały tutaj katolicyzmowi dynamizm, bez którego jego rola byłaby niewielka. Tym niemniej same cyfry nie usposabiają do optymizmu: ludność Anglii i Walii wynosi w chwili obecnej 42 miliony, w tym katolików jest 4 miliony, niekatolików 38 milionów, czyli rocznie przypada jedno nawrócenie na każdych 3.800 akatolików. Przy tym tempie, uwzględniając nawet wyższą rozrodczość katolicką, nawrócenie Anglii musiałoby trwać tysiąc lat.

Poza Anglią, regularną statystykę nawróceń ogłaszają Stany Zjednoczone. Tam obraz jest pomyślniejszy. Liczba nawróceń doszła tam ostatnio do 115 tys. rocznie, czyli jest przeszło 10-krotnie wyższa niż w Anglii. Uwzględniając fakt, że Ameryka ma trzykrotnie wiekszą ludność można wnosić, że częstotliwość nawróceń jest w Stanach 3 czy 4-krotnie większa. A i tak jest ona na tyle niska, że nawrócenie Ameryki w ciągu powiedzmy stulecia jest trudne do pomyślenia.

Inne kraje statystyki nawróceń nie podają, względnie podają cyfry ułamkowe i nie zasługują na zaufanie. Dotyczy to w pierwszym rzędzie misji afrykańskich, których cyfry wykazują z roku na rok wahania fantastyczne. W każdym razie wydaje się być pewnem, że tempo nawracania murzynów jest dużo wyższe niż białych, w Afryce tylko przybiera rozmiary tak ogromne, iż pojawienie się, powiedzmy, w przyszłym stuleciu, katolickiego „czarnego lądu“ wydaje się wcale nie mrzonką, lecz bardzo realną perspektywą. Juk dziś np. w Kongo belgijskim katolicy stanowią jedną trzecią ludności.

W innych krajach statystyki nawróceń bądź nie ma, bądź przynajmniej jest ona niedostępna: pomimo licznych wysiłków, łącznie z korespondencją ze znanymi mi jezuitami w Rzymie, nie zdołałem jej uzyskać. Opierać się musimy na wnioskach pośrednich: „mówią, uchodzi za rzecz pewną“, co zawsze, gdy chodzi o sprawy cyfrowe, jest bardzo niepewne. Otóż „podobno“ w Szwajcarii, gdzie katolików jest 41%, protestantów 57%, a 2% żydów i ateuszów, stosunek katolików do protestantów w poszczególnych kantonach jest niezmienny, czyli nawróceń nie ma. Dlaczego? Tymczasem w Holandii, gdzie stosunek procentowy katolików i protestantów jest prawie identyczny, procent katolików stale i względnie szybko wzrasta, czyli liczba nawróceń musi być dość znaczna: znowu dlaczego? Na Węgrzech siły relatywne katolików i kalwinistów nie zmieniły się od XVI stulecia. W najważniejszym europejskim kraju o ludności religijnie mieszanej — w Rzeszy niemieckiej — stosunek liczbowy katolików i protestantów nie wykazywał do 1945 roku żadnych zmian; prowincje katolickie pozostały katolickie, okolice protestanckie wytrwały przy Lutrze i Kalwinie; o nawróceniach było zupełnie głucho. A i dzisiaj, o ile sądzić mogę, o żadnym prozelityźmie w Niemczech, przynajmniej Zachodnich, nie słychać. Jest to tym dziwniejsze, że w takim kraju jak Niemcy musi być dużo małżeństw mieszanych, które zwykle powinny grać na rzecz katolików, a ponadto rozkład protestantyzmu powinienby grać na korzyść Kościoła. Ale, o ile wiem, nic podobnego nie zaszło i nie zachodzi. Z tego skostnienia trudno wyciągnąć optymistyczne wnioski.

W krajach skandynawskich liczba nawróceń jest znikoma. W krajach czysto katolickich jak Francja czy Włochy „nawrócenia“ mają zgoła inne znaczenie, — pokajania się grzeszników, nie przesunięć wyznaniowych. Wreszcie w krajach prawosławnych postępy katolicyzmu w obrządkach wschodnich były znikome. W Rumunii np., gdzie istniała do wojny tolerancja religijna, a dynastja miała dla katolicyzmu pewną sympatję, liczba unitów nie wzrastała wcale.

Nas oczywiście najbardziej interesuje, jak sprawa nawróceń wyglądała i wygląda w Polsce, statystyk wiarygodnych nie znam — a jeśli by ktoś je miał, to byłbym za nie bardzo wdzięczny. Spisy ludności 1921 i 1931 (jedyne dwa jakie mieliśmy, spis Bieruta z 1946 nie uwzględniał rubryki „wyznanie“) wykazywał, wzrost i bezwzględny i relatywny katolików łacińskich, spadek procentu katolików unitów, żydów i protestantów, wzrost prawosławnych. W jakim jednak stopniu te zmiany były wywołane nawróceniami, a w jakim różnicą w stopie przyrostu ludności — nie wiadomo. Wiadomo było tylko, że rozrodczość katolików była wyższa niż protestantów (najniższa w Polsce), żydów, unitów, natomiast niższa niż prawosławnych.

Skłonny jestem przypuszczać, że liczba nawróceń w Polsce przed wojną była wcale znaczna, grubo wyższa niż w Anglii, i wyrażała się cyfrą nie 10 tys. ale conajmniej 20 czy 30, może nawet aż 50 tys. rocznie. Nawróconymi byli częściowo protestanci, głównie na skutek małżeństw mieszanych. Głównego jednak kontyngentu dostarczali Żydzi. Właśnie z tego powodu utarło się u nas patrzeć krzywym okiem na nawrócenia, jako interesowną „machlojkę“. a konwertytów określaliśmy pogardliwym, bezecnym i bezbożnym terminem „wychrzta“. Opinia zdawała się wychodzić z założenia, że wszystkie nawrócenia żydowskie są nieszczere, czysto interesowne, „paszportowe“, nic wspólnego z procesami spirytualnymi nie mające.

Oczywiście była to nieprawda. Nawet w tych wypadkach, gdy raczej pobudki świeckie, względy asymilacyjne odgrywały rolę, Łaska sakramentalna nieraz wywoływała nawrócenie późniejsze, prawdziwe, budujące. Nieraz jeśli nie sami „wychrzci“, to ich dzieci zajaśniały wielkimi cnotami i pobożnością. Wszyscy znają ogromną rolę konwertytów żydowskich w Laskach, w ruchu „Verbum“ i t.d. Córka konwertyty barona Blocha, rektorowa Kostanecka była filarem wszystkich instytucji katolickich w Krakowie, podobnież przedstawicielka innego rodu milionerów pochodzenia żydowskiego, p. Maria Epstein. Mało kto wie, że jeden z członków żydowskiej znanej rodziny bankierskiej Szereszewskich został po nawróceniu misjonarzem i zakończył życie jako biskup w Chinach. Podobnież jeden z członków „dynastji“ Poznańskich został prałatem. Konwertyci prof. Tennenbaum, prof. Sternbach odznaczali się wielką znajomością Ojców Kościoła, ten ostatni tłumaczył na język polski dzieła św. Jana Chryzostoma.

Amerykanie rozpoczęli niedawno starania o proces beatyfikacyjny Ojca Rosenbauma, kapelana wojskowego, który zginął na Okinawie. Myślę że wśród naszych współwyznawców, nawróconych polskich Żydów, było wielu męczenników, którzy na beafitykację zasługują i o którą zabiegać powinniś-my, w dalszym ciągu mamy wielu rodaków Żydów i ich nawrócenie powinno być dla nas wdzięcznym terenem misyjnym, zarówno w Polsce jak na emigracji.

Niestety, fatalnie w Polsce wyglądała sprawa pozyskania prawosławnych do jedności z Kościołem. Znawca tych zagadnień p. Wiktor Piotrowicz wymieniał tylko jedną parafię, gdzie działalność jej proboszcza, ks. Lubrańca, spowodowała przejście na katolicyzm całej ludności. Pozatem zaniedbaliśmy całkowicie ten teren, z wielką religijną stratą.

Nie znam dokładnego stanu wyznaniowego naszej emigracji w Anglii. Myślę jednak, że na 164 tys. Polaków w Anglii conajmniej 10%, jakichś 15 tys. to są żydzi, prawosławni, protestanci. (Osobnym zagadnieniem — to odłączeni od Kościoła, a więc rozwodnicy, niewierzący i indyferenci i t.d.) Nawrócenie ich stanowić powinno nasze ważne zadanie, będzie ono jednak egzaminem naszej gorliwości i naszej wartości.

W. A. Zbyszewski

JAN OLECHOWSKI

„I'LL NEVER GO BACK"

ILOŚĆ książek o Rosji, napisanych w ostatnim dwudziestoleciu, jest zdumiewająca. Nie tylko studia polityczne, próby oceny, pozytywne i negatywne, sowieckiej rewolucji i jej rozwoju, ale również relacje osobiste Rosjan, cudzoziemców, uciekinierów, turystów emigrantów — wyznaczają długą listę autorów, wśród których nierzadko spotyka się nazwiska wybitne i powszechnie znane. Wpływ tych książek na opinię świata zachodniego o Rosji Sowieckiej wydaje się być mimo wszystko minimalny. Nawet Polacy w 1939 roku mieli pojęcie tak niewielkie o rzeczywistości rosyjskiej, jak gdyby kraj ten znajdował się za górami i morzami, a nie tuż obok w „sąsiedzkim“ pobliżu. Po wyjściu z Rosji prawie co drugi Polak uważał, że potrafi napisać książkę o Sowietach, którą dopiero otworzy oczy Zachodo-dowi. Nie ukazało się ich zbyt wiele. Wytłumaczyć to zjawisko można prawdopodobnie typem umysłowości zachodniego człowieka, która organicznie nie znosi kolorów czarnego lub białego, a niestety większość książek o Rosji utrzymana była w intensywnie czarnym, lub białym tonie. To też wszelka plastyczna wizja tego kraju zacierała się szybko w świadomości przeciętnego Europejczyka.

Ze szczególną więc radością przeczytałem książkę Michała Koriakowa p.t. „I'll never go back“, która, wydaje mi się, w przeciwieństwie do poprzednich nie powinna podzielić losu zapomnienia i która może odegrać bardziej pozytywną rolę w pogłębieniu naszej znajomości współczesnej Rosji. Jest to bowiem książka niewątpliwie szczera, spokojna i obiektywna. Obiektywizm jej nie ma nic wspólnego, jak to często bywa, z kompromisowością, jest on wyłącznie wyrazem moralnej postawy autora. „I'll never go back“ jest relacją osobistą przeżyć, myśli i wydarzeń młodego oficera czerwonej armii, które w konsekwencji przywiodły go do decyzji porzucenia na zawsze sowieckiej ojczyzny.

Autor wydaje się być postacią typową dla milionów młodych ludzi sowieckich, jakkolwiek pozornie przeżycia jego mają charakter bardzo indywidualny. Przemiany psychologiczne, które dokonały się w duszy Michała Koriakowa podczas ostatniej wojny niewątpliwie dokonały się również wśród jego współtowarzyszy, jeżeli nawet nie zostały zakończone tak świadomą decyzją jak dobrowolna ucieczka.

Koriakow, syn biednego syberyjskiego chłopa, bez żadnych tradycji kulturalnych, czy religijnych (jedynym wydarzeniem „nadzwyczajnym“, było wspomnienie o Polaku-wygnańcu, który ojca jego nauczył czytać i pisać). Wychowany całkowicie w systemie sowieckim, pod wpływem aspiracji literackich rozwija w sobie podświadomą ciekawość dla spraw religii. Wybucha wojna. Początkowo Koriakow zostaje mianowany korespondentem wojennym przy korpusie lotniczym. Pisze powieść reportaż z frontu p. t. „Dzień na dzwonnicy“. Była to próba literackiego przedstawienia wydarzeń jednej doby na odcinku frontu, z punktu obserwacyjnego znajdującego się w dzwonnicy, pozostałej wśród ruin rozbitej cerkwi. Powieść zostaje oceniona pozytywnie, ale tow. Aleksander Szakowicz Gutman z Gosizdatu poleca mu usunąć wszystko co przypomina religię, a więc dzwonnicę, ruiny cerkwi i t. p. (Rozdział ten drukowaliśmy w Życiu nr. 29, r. 1947, z wydania francuskiego tej książki p.t. „Je me mets hors la loi“).

Koriakow protestuje. Fakt ten jeszcze mocniej rozbudza w nim zainteresowania religijne. Później, jako dowódca kompanii saperskiej zostaje odznaczony za działalność orderem Czerwonej Gwiazdy. W miarę posuwania się frontu na zachód postanawia nauczyć się języka polskiego. Po wkroczeniu do Polski, za udział w nabożeństwie zostaje zesłany do karnego batalionu. Czyta namiętnie literaturę polską. Zachwyca się Lelewelem, studiuje Brzozowskiego, poezję Kasprowicza. Próbuje dostać się do polskiej armii (Berlinga) ale kartoteka jego okazuje się niebezpieczną ze względu na uprzednie zainteresowania religijne. Przeżywa głębokie wzruszenia na Jasnej Górze. Staje się człowiekiem wierzącym. Na kilka dni przed zakończeniem wojny dostaje się do niewoli niemieckiej, gdzie cudem unika śmierci, co jeszcze bardziej pogłębia w nim wiarę w opatrzność Bożą. Przechodzi przez obóz Własowców, skąd ucieka do Paryża, gdzie kilka miesięcy pracuje w Ambasadzie Sowieckiej. Jest świadkiem terroru rozwijanego przez sowiecką misję repatriacyjną we Francji. Wydostaje się spod opieki NKWD i ucieka do Brazylii. Oto w pobieżnym skrócie historia Koriakowa.

O wartości książki jego decydują nie wypadki opisywane ale myśli, obserwacje, uwagi o Rosji, o życiu jego współtowarzyszy i moralna ocena typu sowieckiego człowieka. Autor nie używa zupełnie sloganów po-

Dokończenie na str. 7

Wielką część prac naukowych Pawłowa i jego uczniów ogłoszono w prasie fachowej, ale wyłania się pytanie, czy wszystkie wyniki tych badań ujawniono?

Wyjaśnię krótko, co to jest odruch warunkowy. Otóż podstawowym eksperymentem Pawłowa było wywoływanie u psa wydzielania się soku żołądkowego za pomocą dzwonka. Robiono to w ten sposób, że podając psu jedzenie — co normalnie wywołuje odruchowe wydzielanie się soku trawiennego — równocześnie uderzano w jakiś dzwon, po pewnej ilości tych doświadczeń pies zaczynał reagować wydzielaniem soku żołądkowego na sam dźwięk tego dzwonu, nie widząc nawet pokarmu, czyli wytworzył się odruch warunkowy. Na podstawie wielu eksperymentów Pawłow ustalił szereg praw fizjologicznych, rządzących tymi odruchami, i szkoła Pawłowa doszła w końcu do daleko idącej hypotezy, że całe życie psychiczne składa się właściwie tylko z odruchów naturalnych i warunkowych.

Eksperymentując nad odruchami warunkowymi udało się uczniom Pawłowa sztucznie wywołać zaburzenia nerwicowe u psa. Mianowicie zmuszano psa do odróżnienia świetlnego obrazu koła od obrazu elipsy, potem stopniowo skracano elipsę tak, że jej zarys coraz bardziej zbliżał się do obrazu koła i w pewnym momencie, gdy różnica między tymi dwoma obrazami zaczynała się zacierać, pies, nie mogąc już dać sobie rady z rozpoznaniem, wpadał w stan silnego rozdrażnienia i niepokoju lub odrętwienia, tracił wszystkie nabyte już odruchy warunkowe i wykazywał cały szereg objawów, które spotyka się również u człowieka w postaci chorobowej, zwanej nerwicą.

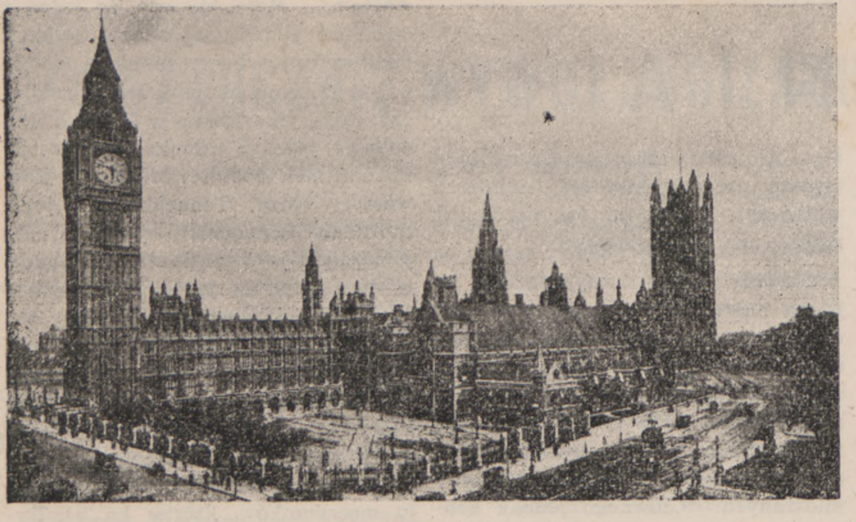
Doświadczenia nad sztucznym wywoływaniem nerwic wzbudziły wielkie zainteresowanie w świecie naukowym. Trzeba zdawać sobie sprawę, że granicy istotnej, zasadniczej, między nerwicą a psychozą nie ma, różnice są raczej tylko w ujęciu praktycznym zagadnienia.

Wolno więc słusznie wysuwać przypuszczenie, że uczeni rosyjscy mogli wynaleźć metodę sztucznego wywoływania zaburzeń psychicznych, idąc w kierunku badań, wskazanym im przez Pawłowa i jego szkołę. Sądzę, że proces Kardynała Mindszenty był zastosowaniem praktycznym nabytych doświadczeń, jak wywoływać pożądany kierunek tych zaburzeń.

G. Kaczanowski

JAN BIELATOWICZ

PICCADILLY JEST



Parlament

LONDYN jest jak szachownica o 30 polach: z tyłu się składa boroughs, czyli gmin. Najważniejsze figury na szachownicy, to dwa króle: Westminster i City. Westminster ma tuż u boku królową — królewską gminę Kensington,a City gierrnka — Holborn. Gra na tej szachownicy w ciągu historii nie toczyła się normalnie. Po jednej stronie był tylko Westminster królów ze swą czarującą oblubienicą Kensington o drugim imieniu Gore, co może znaczyć albo szkarłat zakrzepłej krwi albo smukłość. Z Westminsterem grę toczyła przez wieki reszta: oblewające wkoło siedzibę dynastyj morze mieszczańskie.

Smutno jest w Londynie poetom, choć na żadnym innym skrawku ziemi nie narodziło się tyle poezji co w Londynie. Ale jeszcze smutniej jest w Londynie ludziom obcym poezji. Tylko „święte zdumienie“ wobec powszechności pozwoli ujrzeć na ulicach tego miasta aniołów w słonecznych komeżkach, bijących z całej siły dzwonkami magnificat.

Idąc w drogę do Londynu, nie bierz ze sobą książek. Nie podołasz: jest ich tysiące. Zabierz tylko dwa przewodniki: miłość do historii i miłość do powszedniości. Z nimi zrozumiesz Londyn. Londyn jest twórcą połowy historii powszechnej i spadkobiercą Rzymu. Jest także królestwem szarego człowieka.

Tybr wpada do Tamizy. Wiele jest na świecie miejsc, które sobie upodobała kultura klasyczna. Ale Brytania jest najprawowitszym dziedzicem Rzymu, przewidzianym w testamencie: „Tu regere imperio populos, Romane, memento.“

W dal wywołane płyną nasze floty,
Na wydmach piasków gaśnie ogień żywy,
A naszej dawnej sławy rozbłysk złoty
Stoi w obliczu Tyru i Niniwy.
Sędzio narodów, miłosierny Boże,
Strzeż nas abyśmy nie szli na bezdroże.

Tym kluczem — krzyżem łacińskim — otwiera się każdą z bram Londynu.

Wejdźmy w nie — wszystko jedno którędy. Wszystkie drogi do Londynu rozpływają się w morzu powszedniości.

Trudno i długo trzeba by rozgrywać partię na szachownicy Londynu. Może tedy lepiej pójść drogą pionka i baczyć, aby się nie natknąć na figury historii, wiedzy, sztuki.

Środek miasta — twierdzi większość Londyńczyków — wyznacza strzała Erosa na placu Piccadilly. Ten bronzowy pomnik jest tronem szarego człowieka. Bożek miłości napina swój łuk nie ku ziemi, jak twierdzą niektórzy, lecz ku obsiadającym stopnie studni ludziom prostym i miłującym swe miasto.

Pod pomnikiem Erosa zasiadają w macierzyńskim dostojeństwie matki miasta — kwiaciarki, pełniące swe powołanie dziedzicznie, rubaszne, zażywne, staroświeckie staruchy, odziane w kwiaciaste spódnice, ogoniaste szale i dzierżące kolorowe parasolki, nazywane przez lud londyński „dziewczętami z Picadilly“. Wielokrotnie zmieniały się ceny wiązanek kwiatów, ale zawołanie kwiaciarek: „Fiołki — bukiecik za pena“ („Vilets pennigabunch“) nie zmieniło się od stuleci.

Na Piccadilly miał stanąć pomnik lorda Shaftesbury, wielkiego dobroczyńcy. Rzeźbiarz królewskiej synecurni, Alfred Gilbert, dostał zlecenie zaprojektowania pomnika. Oświadczył on jednak, że nie wyrzeźbi postaci lorda, lecz symbol jego dzieła. Przybywszy do pracowni, w ciągu czterech godzin, nie odrywając się od pracy, w gorączce twórczej, wykonał projekt. Kiedy nauczyciel jego, Niemiec Boehm ,spojrzał na dzieło Gilberta, wykrzyknął: „Na Boga! Nie dotykaj tego więcej!“

Alfred Gilbert nawoływał w późniejszym wieku do przetopienia pomnika na pieniądze dla ubogich, sypiających na brzegach Tamizy. Pomnik pozostał jednak, jako ukwiecony tron człowieka ulicy, królestwo serca. Dlatego lud właśnie tu pragnie widzieć środek swego miasta.

Najulubieńsza piosenka Anglików „Tipperary“ żegna piękno ojczyzny dwoma słowami: Piccadilly i Leicester Square. Cóż znowu jest w owym placu lesterskim? W środku rozdygotanego olbrzyma, przeciw pochodowi kamiennych i stalowych mas wychodzi ów mały placyk, jak chłopiec z zieloną kitką na kapeluszu, jak zabłąkane w wielkomiejskim szale dziecko, goniące piłkę. Śmieją się dobrodusznie do tego drobiazgu, ogrodzonego tanimi sztachetkami, wszyscy Londyńczycy.

Kiedyś plac odgradzała od promenady barierka. Winston Churchill, podchorąży z Sandhurst złamał i publicznie spalił tę barierkę ku uciesze tłumów. Odtąd jej nie ma.

Co się najbardziej rzuca w oczy w Londynie, to chyba uśmiech. Chesterton przy końcu swego poematu miłości Londynu, „Napoleona z Notting Hill“, który jest też banią śmiechu, pisze „Śmiech i miłość są wszędzie. Katedry, budowane w wiekach, które kochały Boga, pełne są bluźnierczych grotesek.“ Uśmiechami miasta są Picadilly i Leicester, ulubione miejsca wojaków wszech broni. Całe Soho powstało z miłości groteski i śmiechu: dzielnica „arkad rozrywkowych“, tanich zakąsek, tysiąca ciasnych jadłodajń, egzotycznych brudasów wszech narodów, liter chińskich i hebrajskich, potraw zamorskich, niebieskich ptaków, nurków i marynarzy, dziewcząt zmalowanych na orchidee, nocnych motyli, szulerń i palarni opium, kolorowych kabaretów i teatrów.

Uśmiech nie był jednak dzieckiem pierworodnym rasy brytyjskiej. Może właśnie jest to dziś błękit po czarnym chaosie mgieł i chmur, który walił gromami w historię tej wyspy. Odpłynęło morze, po brzegi wypełnione krwią. Pozostała po nim skała — Tower Hill, Wawel brytyjski. Tylko że na Wawelu człowiek wojował ze smokiem ,a na Tower Hill lała się jak fontanna, bez przerwy, krew ludzka. Na dnie duszy brytyjskiej zalega czerwony piasek. Nie warto chodzić na Tower Hill. Jest jak skała po odpływie krwi.

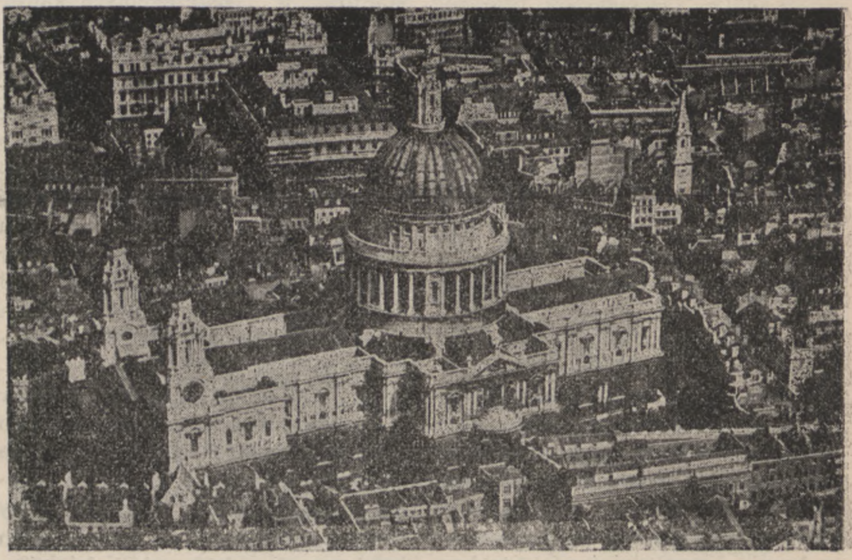
W miejscu, które się dziś w Londynie najpogodniej niebu uśmiecha, stoi Marble Arch, łuk z marmuru, który miał zdobić wjazd do królewskiego pałacu. Przez sześć wieków wołały stąd o pomstę do nieba szubienice — „Tyburn Gallows“. Płynęła tędy maleńka rzeczułka Tyburn, a na jej brzegach stały rzędy szubienic i trybuny, z których za pół korony mógł każdy dowoli nasycić się widokiem śmierci. Ponad dwieście paragrafów kodeksu przewidywało śmierć za przestępstwa, od kradzieży kieszonkowej poczynając. Dziennie spędzano z tego świata setki ludzi. Dzisiejszą ulicą Oksfordzką, a kiedyś błotnistą drogą, pędzono ofiary ku drzewom śmierci. Niektóre z nich szły tędy w blasku dumy rodowej (byli tacy, którzy jechali karetami ku śmierci), inne w sławie zbójnickiej albo w goryczy straszliwej krzywdy. Przeszły tędy tysiące wyznawców rzymskiego Kościoła. Za Restauracji ciała zmarłych wywlekano z podziemi opactwa westminsterskiego, by je powiesić nad rzeką Tyburn.

Historycy piszą, że na drodze do szubienic stał zajazd Jerzego, w którym tradycyjnie łykali ostatnią słodycz skazańcy. Jeden z nich, Jonathan Wild, śmieje się po dziś dzień. Wieszany, potrafił pod stryczkiem pastorowi wyciągnąć z kieszeni korkociąg. Umierał, pokazując go tłumom.

Ile to ludzkich żywotów brukowało drogi naszym czasom!

Dzwony kościołów anglikańskich biją napróżno. Życie z nich uszło, jak tchnienie z umierającego ciała. Mury ich są jak ostygłe i porzucone działa po przegranej bitwie. Kościół Anglii, to Kościół bez wiernych. Londyn ma chyba bez mała tyle kościołów, co Rzym. Wypełnione są te kościoły pomnikami i malowidłami znakomitych mistrzów, budowali je najsłynniejsi architekci angielscy i wielu znanych światu obcych, na murach ich popisała historia swe zawiłe sprawy, a przecież kościoły Londynu nie są — jak w Rzymie — ostatnimi stacjami ludzkich wędrówek, ołtarzami ulic i dzielnic ,natchnieniem twórców i westchnieniem maluczkich. Kościoły w Anglii stoją samotne. Najbardziej krzykliwe i świeckie przynęty nie ciągną ku nim wiernych. Kościół Anglii albo się podda Rzymowi albo skruszeje w proch niebytu. Bo Westminster, to kościół nie Boga, lecz ludzi, którzy budowali Wielką Brytanię, święty Paweł, to świątynia pychy brytyjskiej, a wszystkie inne kościoły, to herby i muzea dzielnic.

Ulice Londynu jakby wyszły spod taśmy fabrycznej. Nawet ich nazwy pozbawione są polotu. Co krok to Queens street, Princes Avenue, Palace Gardens lub nazwane nic nie mówiącymi śmiertelnikom imionami sławnych mężów. I domy piętnowane panowaniem: tudorowskie, elżbietańskie, wiktoriańskie, czerwona cegła Jerzego. Wierzyć się nie chce, że ten nudny labirynt placów, alej, skwerów, przesmyków stajennych i przeróżnych geometrycznych figur zabudowanych przestrzeni był jeszcze wiek temu bukolicznym parkiem, podmiejską łąką, pastwiskiem lub gajem. Na Picadilly schodziły się drogi, wiodące



Katedra św. Pawła i fragment City przed zbombardowaniem

Ks. WALERIAN MEYSZTOWICZ

LIST, KTÓRY NIE DOSZEDŁ

Do Pana Jana Rembielińskiego w Londynie.

Szanowny Panie,

CHCIAŁBYM móc dodać „i kochany Panie“ — do czego nie mam prawa, nie znając Pana osobiście. Spędziłem w okresie moich dwutygodniowych wakacji wiele godzin sam na sam z Pana książką, w ? padłych portach Korsyki czekając na statki. Zdaje mi się, że bardzo bliską z Panem zawarłem znajomość, poznając nie tylko Pana poglądy — ale i cały Pana stosunek do tego, co jest naszym wspólnym ukochaniem; nie mogę nie mieć Pana za kogoś bardzo mi bliskiego.

Pan sam najlepiej wie, ile uczucia można włożyć w opis dziejów. Nienawiść, którą przepełniony był Michelet, zdegradowała jego opis dziejów Francji do rzędu romansów. Miłość do Polski podnosi Pana opis na wyżyny Długoszowe, z opowieści robi— chyba nie przesadzam — epos, który niewątpliwie trafi pod strzechy.

Znajdą się zapewne „zawodowi historycy“, którzy zechcą odmówić Pańskiej książce t.zw. „naukowości“ „Nie oparta na źródłach“, powiedzą. Dawno już doszedłem do wniosku, że trzeba przeprowadzić podział między badaniem archiwów, a opracowaniem zagadnień monograficznych. Rzymska ekspedycja Akademii Krakowskiej znacznie więcej by dotąd zrobiła w kierunku udostępnienia „poloników“ archiwów papieskich, gdyby jej członkowie nie wybiegali poza te archiwa dążąc do monograficznego opracowywania nuncjatur Bolognetti'ego i Calligari'ego. Potrzebny jest i dalszy podział pracy historyków: na monografów i na syntetyków. Powinni się opierać jedni na drugich, syntetycy na monografach, ci zaś na archiwistach. Choć różne są metody badań każdej z tych grup, nie należy ani zamykać przejścia z jednej do drugiej, ani pozbawiać którejkolwiek tytułu „naukowości“. Potrzebny jest historyk,któregoby czytano, jak czytą się Askenazego; trudno wymagać, aby czytano X. Fijałka.

Znam obawę historyków XIX wieku, „devant les idées générales qui viennent avant les faits“. Kryje się w niej błąd polegający na chęci wytworzenia zasad ogólnych t.j. filozofii, z samych tylko przesłanek historycznych. Prowadzi to historyka do „objektywizmu“, polegającego na ukrywaniu idei filozoficznych (i oczywiście tym bardziej religijnych) a w gorszych wypadkach do opierania się na nieuświadomionej, wulgarnej filozofii tłumów. A ta, jak świetnie wykazuje O. Bocheński, jest zwykle tylko naiwnym zbiorem maksym filozoficznych minionego pokolenia. Same fakty historyczne są zbyt wąską podstawą, by z nich można było wydedukować wszystkie pojęcia ogólne, całą filozofię. Zresztą tworzenie jej za każdym razem nanowo przez każdego historyka byłoby zbędnym wysiłkiem. Żądać tego można tylko, gdy się ma za nic ten od wieków narastający pospólny skarb naszej cywilizacji, opartej o zdobyte łacińskie pojęcia prawa, o grecką filozofię i o Objawienie dane narodowi wybranemu. Pan jest katolikiem, arystotelistą i tomistą; i takim powinien być każdy zanim nawet studia historyczne rozpocznie.

Długie godziny spędziłem na skałach pod Santa Teresa i Bonifacio wypatrując łódki, która by mnie przeniosła przez wzburzoną cieśninę. Książka Pana stale mi towarzyszyła. Obecnie, na statku płynącym ku Włochom, mam w ręku ten niebieski tomik, wytrzepany przez wiatry i pokreślony na każdej stronie uwagami.

Wybrałem ustępy, za które chciałem Panu szczególnie podziękować. — Więc przede wszystkim za św, Stanisława. Doskonała wydaje mi się uwaga, że jego zatarg z królem wcale nie dotyczył polityki; równa się to właściwie wielkiemu „ignoramus“. Szczególnie jest cennym Pana podkreślenie prymatu duchowości, który został przez św. Stanisława i jego kult wprowadzony do umysłowości Polaków. — Dalej świetna jest Pana rozprawa z Grünhagenem o polskość św. Jadwigi i z Burkhardtem o Fryderyka II człowieka bez czci i wiary. Może nareszcie u nas samych przejdzie owo zaślepienie, że „nie wierzymy rzeczom najpewniejszym w świecie, jeśli ich nie czytamy“... w niemieckich wydawnictwach źródłowych. — Nawiasem mówiąc, zbyt daleko się zaszło w rektyfikacji Długoszowej wersji o początkach Kościoła w Polsce, — rektyfikacji, opartej jedynie na milczeniu źródeł niemieckich, i na braku źródeł innych. — Czy nie zbyt śmiało np. odmawia Pan Reinbernowi, biskupowi Kołobrzeskiemu następców? — Stokroć ma Pan racje podkreślając „kompleks niższości“ drogiego nam wszystkim Bobrzyńskiego. Dzięki za porównanie Piłsudskiego z Łokietkiem; za obronę naszej elekcji i decentralizacji; za obronę Jagiellonów przed zarzutem niedbałości o ziemie zachodnie; za świetne ujęcie nacjonalizmu i polityki nacjonalistycznej oraz imperialistycznej. — Dzięki za hołd, oddany Długoszowi; czy Pan wie, że Garampi—najuczeńszy z naszych nuncjuszy—był entuzjastą Długosza, i pisał o nim jako o pierwszym od czasów starożytnych, historyku w Europie. — Może najszczerzej, najbardziej mnie cieszy Pańska odwaga w obronie średniowiecza i w porównaniu — a nawet powiązaniu — anglosaksońska z Krzyżactwem. Słowa Pana o kochanym mieście łączą się najściślej z tym, co czuję, gdy myślę o mieście miłym. Tylko (może to podejrzliwość litewska?) — czy nie dźwięczy tam gdzieś u Pana rezygnacja? Jeżeli tak—to nie będzie zgody między nami, bo nie uznaje rezygnacji mój upór litewski. A teraz do krytyki.

Nie mam ze sobą nawet małego Larousse'a, aby sprawdzić niektóre wątpliwości. Ale i tu i tam jakieś „lapsus calami“ zauważyłem. Notuję je — powinno się to przydać do przyszłych wydań i do tłumaczeń. — Więc data „wielbłądziego hołdu“,

Bolesławowi Świderskiemu — Sercu i Woli

SERCEM LONDYNU

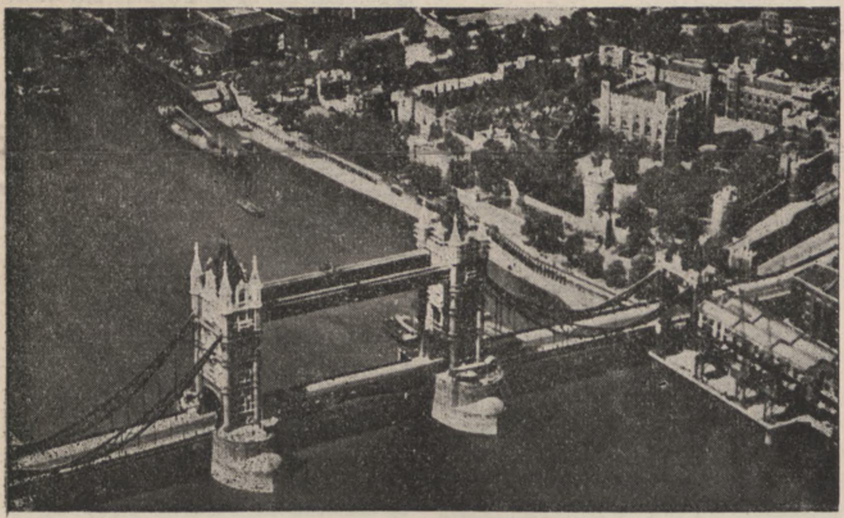
do Londynu i stąd liczono odległości do wszystkich zakątków wyspy.

Kiedy w roku 1660 Karol II powrócił do Anglii (historii angielskiej najłatwiej nauczyć się na figurach woskowych u Madame Tussaud), Londyn kończył się na Charing Cross, a na placu Trafalgaru stały stajnie królewskie. W letnie wieczory mieszczanie z Charing Cross chadzali odetchnąć powietrzem wsi — na Piccadilly. Biorąca tu swój początek, dziś metropolitalna arteria, Haymarket (ulica Sienna), była naówczas niebezpieczną dla pojazdów, błotnistą, ale też tonącą wśród krzewów i kwiatów drogą. W przydrożnych fosach pleniło się tu bujne ziele lecznicze — wolijęzyk, zbierane skrzętnie przez tamtoczesnych medyków i balwierzy. Rosły też tu łany fiołków. Na rozdrożu stały od niepamiętnych czasów dwie karczmy — „Pod Piórami" i „Pod Koroną". Przy gościńcu siadły zrzadka zajazdy, kuźnie i domostwa.

W czasach owych nie było jeszcze pubów, lecz zajazdy (inns) i tawerny. W balladzie „Londyńskie tawerny" z tamtej epoki nieznany poeta objaśnia znaczenie tarcz, malowideł i wiech na zajazdach i gospodach. Gruba szlachta tedy uczęszczała pod „Głowę królewską", utytułowane szaraczki pod „Koronę", rycerze pod „Złote runo", a hołota pod „Błazna". „Pióra" były dla dam, „Mitra"dla księży. „Byk" dla rzeźników, „Drzewo wiśniowe" dla ogrodników, „Delfin" dla rybaków i tak dalej. Znaki te były zawsze malowane (jak to zostało po dziś), bo zarówno szlachta, jak hołota nie znała pisma.

Napojem angielskim, który już zastali na wyspie Normanowie, było piwo. Poufale nazywają wyspiarze piwo „Mr. John Barleycorn", co znaczy „Jaś Jęczmienny". Przez długie wieki dzieliło się ono na dwa rodzaje: lepsze i gorsze albo droższe i tańsze. Kiedy wino poczęło zagrażać po rozbudowie floty piwowarom, poczęli oni poprawiać smak i moc napoju, a piwa z Yorkshire, zwłaszcza zaś z Burton, zyskały wnet sławę światową. Browarnicy próbowali nawet wino dobywać z chmielu i jęczmienia i wyprodukowali istotnie coś zbliżonego. Nazywa się to „barley wine" lub „tolly ale". W każdy razie „ale" jest mlekiem i miodem ziemi angielskiej.

Gardła brytyjskie najłakomiej wchłaniają gotowane wina słodkie: maderę, marsalę, sherry, zwane dawniej sack. Wszystkie winnice Portugalii, rodzące porto, są w rękach Anglików lub pracują dla nich. Jest to narodowe wino angielskie. Burgund miewał również na wyspie chwile triumfów, lecz nigdy nie pobił słodkiego nektaru. Wódki angielskie, whisky i gin, są stosunkowo świeżej daty (koniec XVIII stulecia).



Tower Bridge

Tak więc Anglia wykarmiła się na piwie i słodkim winie, jak Polska na piwie i miodzie. Od czasów Karola II Piccadilly nie zmieniło się wiele, jeśli idzie o radość gardeł ludzkich. I ten strumyczek sączył się zawsze bez przerwy. Najłatwiej rozumiemy dziś tę słabość ludzi z historii.

Wielki pożar i wielka zaraza były kresem średniowiecza londyńskiego. Rozpoczął się pęd ku przestrzeni, ku powietrzu, ku ogrodom. Londyn, jak pąk kwiatu strzelił na wszystkie strony. Od tej pory miasto w niepowstrzymanym pędzie pożera jak smok z bajki coraz nowe płaty ziemi, chłepce wody, osusza oddechem bagna, pozostawiając tylko maleńkie, osaczone skrawki zieleni.

Twórcą nowoczesnego Londynu jest przed wszystkimi budowniczy katedry św. Pawła, Krzysztof Wren. W połowie wieku XVII zaczął swe dzieło od zaplanowania ulicy, wiodącej z Haymarket ku Leicester, wtedy jeszcze nie placowi lecz polom, Leicester Fields. Sam plac Piccadilly i rozgwiazda ulic, biegnąca od niego, zawdzięcza także swe powstanie największemu budowniczemu Wielkiej Brytanii. Dzieło swe na Piccadilly udekorował Wren kościołem św. Jakuba, którego ołtarz główny uważali Anglicy za najrozkoszniejsze zjawisko sztuki w Londynie, pogrzebane pod miotem bomb niemieckich.

Piccadilly poczęło z latami pękać od ludzkiego tłumu. Wieś angielska pustoszała, rosło miasto. Mieszczanie, żołnierze, dziewczęta poczęły otaczać coraz gorętszą miłością posążek Erosa. Wkrótce znikły misterne kubki do picia wody ze studni przy pomniku. I wreszcie gdy nowoczesność nie mogła się już pomieścić na ciasnym cyrku Piccadilly i musiała zejść pod ziemię — znikła także i studnia z placu. Miejsce jej zajęła kolej podziemna.

Pierwsza kolejka podziemna pobiegła z Piccadilly w roku 1906. Pierwszą w ogóle kolejkę w Londynie zbudowano w roku powstania styczniowego. Łączyła ona wtedy też właśnie zbudowany dworzec Paddington z Whitechapel. Kolejka pikadilska bieży 86 stóp (ponad 26 m.) pod



Trafalgar Square

ziemią, a linia Bakerloo 102 stóp (31 m.).

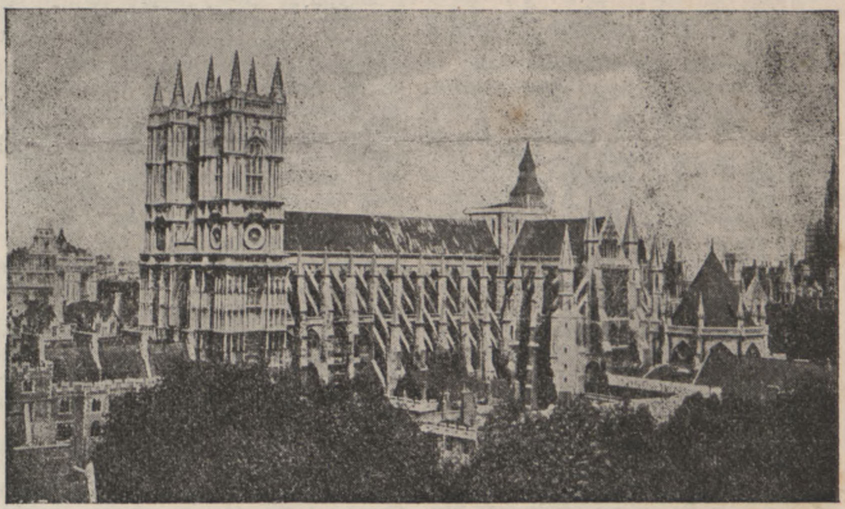
Przeszłość swą lubią wspominać Anglicy, a najbardziej prości ludzie. Nie ma chyba drugiego narodu, który by więcej tęsknił do swej przeszłości, jak Anglicy. Wygląda to jak jakby coś w tej przeszłości zgubili i do czego pragną wrócić, by zgubę odnaleźć. Przeszłości najchętniej szukają w country, na wsi.

W historii Londynu było tysiące pożarów. Do dziś dnia nie ma właściwie godziny, w której by gdzieś w Londynie nie wybuchał pożar. Dwa jednak były najstraszniejsze i najpamiętniejsze pożary w dziejach miasta: w latach 1666 i 1940. Drugi z nich, zapalony przez lotników niemieckich, starł z powierzchni ziemi wiele klejnotów londyńskiej korony. Runęła w proch najstarsza i najdostojniejsza część City. Spod gruzów i w kraterach ziemi odsłoniła się niespodziewanie przeszłość — mury rzymskie, budowle saksońskie, normandzkie, dynastyczne. Na świadectwo, że wszystko ludzkie mija, ale że też z tego coś zostaje, co mogą przypomnieć katastrofy i trzęsienia ziemi po tysiącach lat.

Londyn jest prawie wszędzie jednaki. Na obu brzegach Tamizy, w Greenwich i Lambeth, w Chelsea, Camden Town i na Hampstead znajdzie się te same paciorki czerwonych i szarych domków, te same sklepy i skwerki i wszędzie tę samą szarość, pospolitość, powszedniość. Życie polega na tym, aby umieć sobie znaleźć własne miejsce w tej milionowej kolejce po chleb powszedni.

Piccadilly jest sercem Londynu. Jest to tron szarego człowieka. A Londyn to jego królestwo.

Jan Bielatowicz



Opactwo Westminsterskie

złożonego przez Mieszka Ottonowi III (968 czy 980 czy też 985, jak można wydedukować z daty urodzin Ottona?) „Książe w Wiśle" nie „na Wislech" (p. fac-simile tego tekstu u Augusta Bielowskiego). Błąd to absolutnie powszechny u naszych historyków. — Sprawdziłbym daty przeniesienia W. Magisterium Krzyżaków i przywileju protekcyjnego oraz przywileju w Lutomyślu.—Należy też ustalić daty infundacji Księstwa Śląskiego: 1329, 1327-1330, tu sprzeczność pozorna wynika z wadliwej redakcji). — Chyba błędnie podana jest data kroniki Wielkopolskiej 1387. — Sprawdziłbym też daty zajęcia Wołynia 1366, ustąpienia Żmudzi 1398, i zajęcie Smoleńska 1385, choć to sprawdzenie może potwierdzić podane wersje. — Wadliwy (niedostateczny) jest opis herbu „1/2 orła i 2 róże": (str. 233) przynajmniej cztery postacie odpowiadają temu opisowi: w tłumaczeniu to wypłynie. — Czy Dymitr z Goraja należał do Korczaków? — Czy Elżbieta Łokietkówna wrogą była Luxemburgom? Zdaje mi się, że nawet kiedyś na ich korzyść pośredniczyła, i że jedynym jej wrogiem była jej synowa Joanna Neapolitańska. — Czy „vcta a juniore" nie są wzięte z prawa kanonicznego? — Słowa „osiem zakonów Franciszkańskich" są niewłaściwe: chodzi tu o „domy" czy „klasztory". — Długo by się można rozwodzić nad tym co wygrał naród rosyjski na unii polsko-litewskiej (str. 26): przeniesienie głównego ośrodka Rosji na ziemie ugrofińskie, wynikłe stąd jego poddanie bliższym wpływom hordy, późniejsze zlanie się namiestnictwa Moskiewskiego z chanami Kazania i Astrachania, jednym słowem: mongolizacja Rosji, czyż nie są skutkiem utraty Kijowa? I czy nie lepszą dla siebie i świata byłaby Ruś Kijowsko-Wareska od moskiewsko-tatarskiej? Wiem, że nie my, ani nawet nie Litwini Olgierda podzielili Ruś na swoją i tatarską — tylko właśnie Tatarzy. Ale czy można mówić o „korzyściach" stąd płynących dla narodu rosyjskiego? — Nie myślę, by słuszne były twierdzenia o wpływach „francuskich" w dziedzinie sztuki za Kazimierza Wielkiego. Są to raczej wpływy włoskie, neapolitańskie, a sam styl najsłuszniej byłoby nazwać andegaweńskim. — Co do Andegawenów: mężem Elżbiety Łokietkówny był Carobert, Karol Robert, nie Karol Hubert. Z serdecznym wzruszeniem wspominam tego, który był zapewne mimowolnym powodem tej pomyłki... Czy zna Pan Haleckiego „the batlle of Warna" (N. York po 1939?) teza o krzywoprzysięstwie jest tam gruntownie obalona. — Nakoniec chciałbym spróbować obrony Konrada Mazowieckiego. Wszak przyjął on krzyżaków w trzy lata po bitwie pod Kałką, wobec grozy nawały tatarskiej; pomylił się, jak tyle razy po nim się mylono, przyjmując za fakt „jedność i zgodę Panów chrześcijańskich" przynajmniej w obliczu mongolskiego najeźdźcy. Ale cóż dziwnego, że wobec nawały wschodniej chciał mieć na kresach, od strony Prus, rycerski zakon chrześcijański? Wszak faktem była synchronizacja powstania pruskiego z najazdem tatarskim. Przecież sprowadzenie Zakonu to było to samo, czym by było np. stworzenie, w r. 1939, angielskiej czy amerykańskiej kolonji na Zadnieprzu. Zdrada z 1941 roku nie mogła wówczas być brana w rachubę, tak samo Konrad nie mógł obliczyć późniejszej zdrady krzyżackiej. Jaką rolę odegrało niebezpieczeństwo tatarskie w umyśle własnym Konrada? Nie wiemy, acz nie możemy tego a priori wykluczyć. Nie recepcja Krzyżaków jest rzeczą tajemniczą — lecz owo rozbicie sił wobec najazdu tatarskiego, owa niezdolność do wspólnego oporu. Nie tylko ruskich — lecz również i polskich książąt. Tatarzy biją jednego po drugim, roznosząc osobno wojsko krakowskie i sandomierskie, potem opolskie, potem Henryka Pobożnego; zwyciężaliby dalej z osobna wojska cesarskie, włoskie, francuskie, gdyby nie nagły zgon chana i powrót do stepów na „hurałdan".

To wszystko jest jednym jeszcze fragmentem w obrazie zachodniej ślepoty na wszystko to, co jest wschodnim niebezpieczeństwem. Jak gdybyśmy byli niezdolni dojrzeć tego co dzieje się w stepach, patrząc pod wschód słońca. Nikt z naszych historyków nie dojrzał narzucającego się wprost związku pomiędzy bitwą nad Kałką, a sprowadzeniem krzyżaków. — Trzeba przejrzeć cytaty łacińskie: zecer nabroił tam wiele: „cicatricem" zamiast „cicatricum" (189), „quiescebant" zamiast „qui nesciebant" (211), „ecclasia" zamiast „ecclesia" (214), „referto" i inne...

Jeżeli się nad tym rozwodzę — to nie z pedanterii — bo tu nawet nie stać mnie na pedantyczną krytykę, tylko myślę o przyszłych wydawnictwach. Będzie „przemycać w Litwę żyd tomiki Pańskich dzieł", napewno. A pozatem mam nadzieję, że zobaczymy zaraz, jak najprędzej, tłómaczenia. Pan napisał wszystko, co o naszym średniowieczu chciałoby się cudzoziemcowi powiedzieć. Dzisiaj, poza bardzo krótkim Haleckim i dość słabym Sobieskim nie mamy nic; a trzeba, by uczciwi ludzie na zachodzie (—tacy są jeszcze, mimo całej zgnilizny) to przemyśleli. Koniecznie, i im prędzej, tym lepiej, na to środki trzeba znaleźć. Dawniej w tych wypadkach uciekano się do przedpłacicieli. Czy to jest teraz możliwe?

Kończę. Za długo już piszę. Na przepełnionym statku nie mam kabiny — i noc spędzam nad listem do Pana. Jutro ktoś to przepisze. Nie będę już miał czasu na uzupełnienie i sprawdzenie.

Raz jeszcze Panu dziękuję serdecznie, Pana rękę ściskam.

Najbardziej oddany — X.W.M.

* * *

List ten wrócił do rąk piszącego, niedoręczony przez pocztę — z powodu zgonu Adresata. Nie ma potrzeby podkreślać, jak wielką stratę ponieśliśmy przez ten zgon. Został nam jeszcze jeden niedokończony poemat, urwany wpół taktu, jak hejnał krakowski.

Został też obowiązek rozpowszechnienia tego dzieła, udostępnienia go nie tylko swoim, ale i obcym, w postaci tłomaczeń.

Ks. Walerian Meysztowicz
Prof. U.S.B

BRONISŁAW PRZYŁUSKI

JAŁOWCE

Sarny wyszły na rosę,
wieczór gęsty oniemiał,
klucze gęsi ukosem
przecinają marzenia.

Trawa, trawa, lebioda,
jarzębina i tarki
i niebo jak ta woda
i gwiazdy jak latarki.

Śnię i ciepły korowaj,
druchny ubrane biało,
przyszła panna brzozowa,
aż łubinem powiało.

Zagdakały cietrzewie,
poszeptały paprocie
i dreszcz przebiegł po drzewie
wiewiórczy dreszcz i koci.

Olszyny nieprzytomne,
brzeziny bielejące,
nigdy was chyba nie zapomnę
jałowce, krzaki gorejące.

Wiersz z tomika „Obrona mgieł", wydanego przez Veritas Foundation Publication Centre.

KALENDARZ

Luty 1949

27. n. — **50-nica, Gabriela**
28. p. — Romana, Teofila

Marzec 1949

1. w. — Albina, Antoniny
2. ś. — † *Popielec*, Heleny
3. c. — Kunegundy, Kamila
4. p. — † Kazimierza, kr.
5. s — Euzebiusza, Adriana

NIEDZIELA PIEĆDZIESIĄTNICY

Myśl przewodnia liturgii niedzielnej. Modlitwy Kościoła na tę niedzielę wspominają Abrahama, kościołem stacyjnym zaś jest bazylika św. Piotra, gdyż ten święty jak i pierwszy patriarcha Abraham był „ojcem wierzących." Obaj mieli zadanie przechowania wśród ludu Bożego nienaruszonych prawd, które wszędzie indziej szły w zapomnienie. Ślepy od urodzenia z dzisiejszej Ewangelii, — powiada św. Grzegorz — to niewątpliwie ród ludzki, gdyż od czasu wypędzenia go z raju w osobie praojca Adama nie znał on już jasności światła nadprzyrodzonego. Lekcja jest wspaniała i pełna poezji pochwałą miłości, dzięki której w pełni poznajemy Boga i która jedyna z cnót Boskich pozostanie na wieki, łącząc nas doskonale z samym Stwórcą.

Lekcja z listu św. Pawła do Koryntian (13, 1 - 13). Dzisiejszej lekcji nie próbujemy nawet streszczać, możemy tylko polecić wszystkim, aby sobie ją starannie przeczytali w mszaliku lub piśmie św. N. Testamentu. Pragniemy też zwrócić uwagę na piękną poetycką prafrazę tej Lekcji, dokonaną przez Bronisława Przyłuskiego p. t. POCHWAŁA MIŁOŚCI, którą zamieściło ŻYCIE w numerze 4. b.r.

EWANGELIA według św. Łukasza (18, 31 - 45). Pan Jezus udając się Jerozolimy na swą ostatnią Paschę, przepowiada w obecności Apostołów Swą mękę i śmierć, Apostołowie jednak nie zrozumieli Go.

A gdy się zbliżał do Jerycha, ślepy od urodzenia, który siedział przy drodze i żebrał, dowiedziawszy się, że przechodzi Jezus z Nazaretu, zawołał: „Jezusie, Synu Dawidów, zmiłuj się nademną!" — i pomimo że go upominano by milczał, wołał tym głośniej o pomoc w swym nieszczęściu. A gdy w końcu przeprowadzono go do Jezusa, który go zapytał czego się od Niego spodziewa, ślepiec zawołał: „Panie, abym przejrzał!" Chrystus Pan słowami: „Przejrzyj, wiara twoja uzdrowiła cię" przywrócił wzrok nieszczęśliwemu, który „szedł za nim wielbiąc Boga".

CZAS WIELKIEGO POSTU

W czasie Przedpościa zrozumieliśmy już konieczność przyłączenia się przez ducha pokuty do dzieła Odkupienia dokonanego przez Zbawiciela. W Wielkim Poście nadszedł czas praktykowania owej pokuty, która nam pozwala wniknąć w dzieło Odkupienia. Liturgia wielkopostna pełna nauk i wskazówek samego Mistrza, dawniej służyła szczególnie do przygotowania dorosłych kandydatów, czyli tak zwanych katechumenów, do sakramentu chrztu. Drugim jej zadaniem było dać sposobność publicznym pokutnikom, aby żałując za swe winy mogli uzyskać ich przebaczenie To też w Wielką Sobotę katechumeni otrzymywali chrzest a pokutnicy Komunię św. Myśli o tym dwojakim powrocie do życia w Chrystusie ożywiają całą liturgię wielkopostną. Liczne teksty ze Starego Testamentu przywodzą nam na pamięć te postaci, które były figurami przyszłego Zbawiciela jak n.p. Józef, odrzucony przez swoich a niosący ocalenie poganom w Egipcie i jak Mojżesz, wywodzący swój lud z niewoli i prowadzący go do Ziemi Obiecanej. Prorocze zaś teksty z Izajasza, Jeremiasza i innych proroków zapowiadają dzieło Odkupienia i przestrzegają lud wybrany.

Pod względem historycznym teksty wielkopostne przypominają nam dzieje trzech lat działalności publicznej Zbawiciela od 40-dniowego postu na pustyni od śmierci na Krzyżu.

Pod względem liturgicznym czas W. Postu dzieli się na dwie części: pierwsza z nich zaczyna się w Środę Popielcową i trwa do soboty przed Niedzielą Męki Pańskiej czyli Pasyjną (poprzedzającą Niedzielę Palmową), druga część obejmuje okres Męki Pańskiej to znaczy dwa tygodnie przed Niedzielą Zmartwychwstania. Odliczając 4 niedziele W. Postu wraz z niedzielą Pasyjną i Palmową od 6 tygodni otrzymamy 36 dni, a doliczając 4 dni od Popielca do 1 Niedzieli W. Postu otrzymamy równe 40 dni postu. Liczbę tę zapowiadali prorocy, a sam Zbawiciel uświęcił ją swym postem.

Każdy dzień W. Postu ma swą własną mszę św. i swą własną stację. Uroczystości świętych są w tym czasie nie tak liczne, jak w innych okresach. Kościół święci w tym cza- Zwiastowanie N.M. Panny (25 marca) i dzień św. Józefa Oblubieńca N.M. Panny (19 marca) ze względu na ważność tych uroczystości.

Aby okazać zewnętrznie ducha pokuty Kościół używa fioletowych szat liturgicznych, usuwa ze mszy radosny śpiew Gloria i Alleluja, diakoni nie występują w dalmatykach a subdiakoni w tunikach, które to szaty liturgiczne oznaczają radość. Milkną też w tym czasie organy, pozostaje zaś tylko śpiew kościelny. W tym też czasie po modlitwie zwanej pokomunią odmawiamy specjalną krótką „modlitwę nad ludem" zaczynającą się zawsze od słów: Módlmy się! Pochylcie głowy wasze przed Bogiem!

ŚRODA POPIELCOWA

W historii pozostało wspomnienie mieszkańców Niniwy, którzy czynili pokutę, przywdziewając włosiennice i posypując głowy popiołem. Na ich to wzór Kościół, aby stłumić pychę ludzką i przypomnieć, że nas wszystkich czeka nieunikniona śmierć, jako następstwo grzechu pierworodnego, posypuje wiernym w ten dzień głwy popiołem. Przy tym obrzędzie kapłan wypowiada owe pamiętne słowa: „pamiętaj człowiecze, żeś proch i że w proch się obrócisz"! („Memento homo, quia pulvis es et in pulverem reverteris").

W tym dniu przed mszą kapłan poświęca popiół ze spalonych palm, poświęconych w Niedzielę Palmową ubiegłego roku. Święcąc ów popiół odmawia modlitwy (patrz mszalik) i w nich prosi Boga o odpuszczenie win tym wszystkim, którzy Go ze skruchą o to proszą.

Wraz z całym Kościołem naszym módlmy się w tym dniu słowami oracji mszalnej: „Udziel, Panie, wiernym Twoim łaski, aby ze szczerą pobożnością ten święty post rozpoczęli i w nim z żarliwym nabożeństwem wytrwali".

LEKCJA z proroka Joela (2, 12-19) głosi dobroć i miłosierdzie Boże dla tych, którzy się do Niego nawracają „w poście, w płaczu i w żalu". „I rozdzierajcie serca wasze, a nie szaty wasze, a nawróćcie się do Pana Boga Waszego: bo dobrotliwy i miłosierny jest, cierpliwy, mnogiego miłosierdzia, i łatwy do ubłagania nad złością"—wzywa Prorok Pański.

EWANGELIA według św. Mateusza (6, 16-21). Pan Jezus poucza uczniów, aby pościli i pokutowali w skrytości przed Bogiem a nie dla oka ludzkiego. Z Boską zaiste znajomością duszy ludzkiej Zbawiciel powiada: „Nie gromadźcie sobie skarbów na ziemi, gdzie mól i rdza niszczą i gdzie złodzieje wykopują i kradną, ale gromadźcie sobie skarby w niebie... Albowiem **gdzie jest skarb Twój, tam jest i serce twoje".**

KURS WIEDZY RELICIJNEJ

Pierwszy z cyklu wykładów wiedzy religijnej, który wygłosi Ks. dr F. Brzózka, odbędzie się dnia 8 bm. Temat „NATURA CZŁOWIEKA". Dla ułatwienia śledzenia toku odczytu podajemy jego dyspozycję:

I. WSTĘP. Pojęcie etyki, jej definicja i porównanie z logiką i estetyką.

Zależność człowieka od rodziców, czynników fizycznych i biologicznych, świadcząca o planie i jedności w stworzeniu.

II. CZŁOWIEK JAKO ISTOTA POWSTAŁA Z POŁĄCZENIA DWÓCH ELEMENTÓW: Dwa różne pierwiastki: ciało i dusza. Teoria hylemorfizmu. Niepodzielność, duchowość i nieśmiertelność duszy ludzkiej.

III. TEORIE PRZECIWNE DUCHOWOŚCI. Materializm starożytny, materializm mechanistyczny XVII i XVIII wieku, materializm dynamiczny XIX wieku. Teorie ewolucjonistyczne.

IV. PROBLEM POCHODZENIA DUSZY. Pochodzenie cielesne i pochodzenie duchowe. Stworzenie duszy.

V. ZAKOŃCZENIE. Indywidualność i osobowość.

Pierwszy wykład i następne odbędą się w Hospicjum św. Stanisława, 21 Earls Court Square o godz. 7,15 wieczorem (we wtorki).

WIADOMOŚCI ZE ŚWIATA KATOLICKIEGO

Katolicyzm łotewski. Łotwa była o obliczu przeważnie protestanckim, jednak z poważną mniejszością katolicką: 25% ludności Łotwy, to byli katolicy. Charakter całkowicie katolicki miała południowo-wschodnia prowincja Łotwy, t. zw. Latgalia czyli Inflanty Polskie (powiaty Dynaburski, Lucyński i Rzerzycki, — po łotewsku: Daugavpik, Ludse i Rezekne), oraz skrawek Zemgalii (wciśnięty między Polskie Inflanty oraz Polski powiat Iłłuksztański, mający z resztą przewagę polskiej ludności). Ponadto liczna diaspora katolicka, częściowo pochodzenia latgalskiego (katolickołotewskiego), a częściowo polskiego, lub litewskiego, żyła także i w protestanckich okolicach Łotwy, a zwłaszcza w miastach: Rydze i Lipawie.

Republika łotewska narodziła się w 1918 roku, jako państwo protestanckie, ale stała się krajem wyznaniowo mieszanym przez wchłonięcie Polskich Inflant, — kraiku żyjącego dotąd życiem odrębnym, półpolskim, w którym łotewszczyzna kiełkowała wzorując się raczej na Litwie, niż na Łotwie protestanckiej i w którym rodzące się, miejscowe piśmiennictwo łotewskie posługiwało się dialektem miejscowym, latgalskim a nie mową i pisownią łotewską z Rygi. W roku 1918 papież Benedykt XV mianował, w osobie ks. Springowicza, biskupa dla Łotwy przywracając mu historyczny tytuł pasterza ryskiego. W roku 1923 biskupstwo ryskie odzyskało rangę arcybiskupstwa. Jednak aż do roku 1924 arcybiskupi ryscy rezydowali w Agtonie na Inflantach Polskich. Dopiero po zawarciu przez Łotwę konkordatu w roku 1922 zjawiły się warunki do przeniesienia siedziby arcybiskupiej, a także i założonego w roku 1920 w Agtonie seminarium duchownego, do stolicy. W myśl konkordatu, którego odnośna klauzula została potwierdzona przez plebiscyt, kościół św. Jakuba w Rydze, pochodzący z XIII wieku, został zwrócony katolikim i podniesiony do godności katedry. Seminarium duchowne zostało w r. 1938 włączone do uniwersytetu ryskiego, jako wydział teologii katolickiej. W roku 1937 utworzone zostało na Łotwie nowe biskupstwo, z siedzibą w Lipawie, obejmujące Kurlandię i Zengalię. W roku 1923 osiedli na Łotwie Ojcowie Marianie, w roku 1929 Kapucyni, w roku 1931 Jezuici, pojawiły się tam także zakony żeńskie. (Warto przypomnieć działalność polskich Jezuitów w Rydze, w erze kontrreformacji; był wśród nich i ksiądz Piotr Skarga).

W roku 1940 było na Łotwie 184 parafij i filij katolickich, 17 dekanatów, 187 księży (wśród nich 135 wyświęconych jest na Łotwie niepodległej) 60 studentów na wydziale teologii, 310 uczniów w gimnazjum męskim w Agtonie, 180 uczennic w gimnazjum katolickim żeńskim, wiele katolickich organizacyj, spora jak na tak szczupły kraj prasa katolicka (2 tygodniki i 5 miesięczników).

Zarówno pierwsza okupacja sowiecka na Łotwie (1940—1941), jak okupacja niemiecka (1941—1945), jak druga okupacja sowiecka (1945-1949) zburzyły tam życie katolickie. Wielu katolików wysiedlono na Syberię, sporo pomordowano. Były ofiary wśród duchowieństwa i wiernych także i z ręki niemieckiej.

Na emigracji w Niemczech znalazło się po wojnie 3 łotewskich biskupów i 4 prałatów, 27 księży i 10 000 wiernych.

Katolikom łotewskim, bliskim nam nie tylko wiarą, ale także i wspólną przeszością historyczną, oraz faktem zaczerpnięcia przez nich tak wielu pierwiastków ze źródeł polskich (jakie były węzły, łączące lud inflandzki z polskością świadczy fakt, że jeszcze w roku 1906 przedstawiciel katolików łotewskich, późniejszy znany polityk łotewski, ks. Trasun, zasiadał w Dumie petersburskiej w Kole Polskim) — polskie katolickie społeczeństwo życzy rychłego odzyskania wolności i odbudowania swego zburzonego życia kościelnego i społecznego, a narazie — życzy siły ducha i szczęśliwego przetrwania.

500 lat istnienia emigracji unicko-albańskiej na Sycylii. W roku 1448, po śmierci słynnego przywódcy Skanderberga i w wyniku zalewu Albanii i całego półwyspu bałkańskiego przez najazd turecki, którego nie zdołała zahamować, na 4 lata przed tym, bohaterska śmierć naszego króla Władysława pod Warną — przybyły na Sycylię liczne gromady chrześcijańskich uchodźców z Albanii. Potomkowie tych uchodźców żyją po dziś dzień, skupieni w ośmiu czysto albańskich wsiach, z których 5 leży w prowincj Palermo, 2 w prowincji Catania i 1 w prowincji Agrigento. We wsiach tych dotąd przechował się język albański. Wsie te ongiś prawosławne, są dzisiaj unickie. Mają one własnego, albańsko-unickiego biskupa, który rezyduje we wsi Piana degli Albanesi pod Palermo. Istnieje tam również zakon OO. Bazylianów. Wsie te czynią dużo dla akcji w duchu katolickim wśród Albańczyków w Albanii, a na uniwersytecie w Palermo istnieje, oparte o siły intelektualne, pochodzące z tych wsi, specjalne Centrum Międzynarodowe Studiów Albańskich.

KRONIKA

Zmarł Dom Celestyn Lu - Tsen - Tsiang. Zmarł w Belgii w wieku lat 78 , opat opactwa Saint André koło Bruges, Dom Celestyn Lu-Tsen-Tsiang.

Ojciec Lu-Tsen-Tsiang był ongiś wybitnym politykiem i dyplomatą chińskim. W ciągu swej bogatej politycznej kariery był chińskim ministrem spraw zagranicznych, chińskim premierem, chińskim delegatem na konferencję pokojową wersalską, chińskim posłem i ambasadorem w Hadze, Brukseli i Moskwie.

Nawrócił się on na religię chrześcijańską w roku 1908. Wielki wpływ w dziedzinie religijnej miała na niego jego żona, Belgijka z pochodzenia, z domu Berta Bovy. Po jej śmierci w roku 1927 wstąpił on do opactwa benedyktyńskiego św. Andrzeja pod Bruges i z czasem został jego opatem. We „Wspomnieniach i myślach", jakie ogłosił drukiem, podkreśla również wpływ jaki miał na niego jego mistrz w dziedzinie dyplomacji, p. Shu-King-Shau, który powiedział kiedyś, że „siłą Europy nie jest jej potęga zbrojna, nie jest nią również wiedza; istotną siłą Europy jest jej religia".

Ojciec Lou nosił się, mimo podeszłego wieku, z zamiarem powrotu do Chin, aby „podtrzymać i pogłębić starożytną cywilizację chińską, odmładzając ją przez chrześcijaństwo". Śmierć rozstrzygnęła inaczej.

Za ukrywanie zapasu bielizny... Ks. Kard. Mindszenty, obecny prymas węgierski, a naonczas biskup w Veszprem robił w roku 1944 bardzo wiele, aby przyjść z pomocą żydom mordowanym przez hitlerowskich okupantów. Między innymi, ukrywał 100 Żydów w piwnicy pałacu biskupiego. Gdy Niemcy dokonali w jego pałacu rewizji, znaleźli tam skład bielizny, zgromadzonej z inicjatywy biskupa i przeznaczonej jako pomoc dla Żydów. Z powodu tej zbiórki bielizny dla Żydów obecny kardynał Mindszenty dostał się po raz pierwszy do więzienia, — mianowicie hitlerowskiego. Otóż obecnie, propaganda komunistyczna robi z tego faktu użytek i ogłasza, że kardynał był już karany za... ukrywanie przed władzami 1500 sztuk bielizny!

Niemiecka młodzież chce się uczyć religii. W szkole technicznej w (Mannheim nad Renem postawiono 236 uczniom i uczennicom (mającym lat 14 do 18) pytanie, czy życzą sobie, by w ich szkole uczono religii. Odpowiedzi bez zastrzeżeń twierdzących było 173 (z nich duża część wyrażała pragnienie, by lekcje te były ulepszone co do metody).

Przybyło w Anglii i Walii 120 000 katolików. Świeżo ogłoszony urzędowy „Catholic Directory" na rok 1949 oblicza, że w ciągu roku ludność katolicka w Anglii i Walii wzrosła o 120 000 dusz. Największy przyrost wykazują diecezje: Southwark (40 00), Birmingham (35 000), Salford (24 00) i Westminster (15 000). Ogólna liczba katolików w Anglii i Walii obliczona jest — w przybliżeniu — na 2 648 000.

W ciągu 1947 liczba nawróceń na katolicyzm wyniosła w Anglii i Walii 10 594. Chrztów dzieci katolickich było 95 910, — 10 886 więcej, niż w roku poprzednim.

Zwiększyła się również liczba kościołów: było ich 2 821 w roku 1948, a tylko 2 753 w roku 1947.

Różaniec w Birmingham na rynku. Katolicy w Birmingham postanowili odmawiać publicznie różaniec na Bull Ring market square co niedzielę o 6 po południu. Chcą oni w ten sposób uczynić zadość zleceniom Matki Boskiej w Fatima. Specjalną intencją różańca będzie: pokój światowy przez nawrócenie Rosji, oraz pomoc duchowa dla kardynała Mindszenty.

Jest rzeczą ciekawą, jak bardzo wzrasta ostatnio w Wielkiej Brytanii tendencja do uprawiania katolickich aktów pobożności publicznie. Różaniec jest już odmawiany w Hyde Parku w Londynie. W zeszłym roku odbyto szereg pielgrzymek pieszych, — w końcowej fazie bosych, — pielgrzymek do Walsingham, dźwigających krzyż.

Arcybiskup Yu - Pin „przestępcą wojennym". Chińscy komuniści umieścili na liście przestępców wojennych katolickiego arcybiskupa Nankinu, ks. Yu Pin. Zasiadał on w konstytuancie chińskiej, a nawet — w marcu 1948 — był wysuwany jako kandydat na jej wiceprzewodniczącego, ale na ogół trzymał się zdala od polityki, a tymbardziej od spraw związanych z wojną, zarzut więc, że mógłby być „przestępcą wojennym" jest zwykłym przejawem komunistycznej antychrześcijańskiej demagogii.

Wódka objęta w Polsce postem. Biskupi polscy nakazali w roku bieżącym ogółowi wiernych powstrzymać się całkowicie od spożywania napojów wyskokowych w pierwszym i ostatnim tygodniu Wielkiego Postu.

Szkoły katolickie w Chinach. Chińscy katolicy są liczebnie drobną mniejszością wśród tego olbrzymiego narodu, objektywnie jednak są już społecznością znaczną, — wielostronnie rozwiniętą i odgrywającą w życiu chińskim rolę proporcjonalnie dużo większą, niżby to wynikało z ich siły liczebnej. Jednym z przejawów siły katolicyzmu chińskiego, — coprawda, częściowo będącym do zawdzięczenia także i pomocy wewnętrznej, — jest chińskie katolickie szkolnictwo. Do katolickich szkół powszechnych w Chinach uczęszcza (a raczej uczęszczało przed ostatnimi wypadkami) 275 000 dzieci. Do katolickich gimnazjów 45 000 uczniów. Na katolickie uniwersytety w Pekinie, Tientsinie i Szanghaju — 10 000 studentów.

„I'LL NEVER GO BACK"

Dokończenie ze str. 3

litycznych. Książka jego w większym stopniu jest analizą literacką psychiki człowieka sowieckiego na tle ostatniej wojny, aniżeli deklaracją polityczną.

Znajdują się w niej gorące, entuzjastyczne uwagi o Polsce, może nawet nazbyt pochlebne. Pisze on: „W Polsce doszedłem do poznania katolicyzmu, a przez katolicyzm doszedłem do poznania Polski. Polska wiara ma osobisty liryczny charakter, przez co jest nieskończenie bardziej czystą i płomienną. W niej odkryłem źródła polskości: szlachetność ducha i romantyzm".

Z gorącym oburzeniem, opisując straszliwe gwałty, mordy i grabieże, jakich dopuszczali się sowieccy żołnierze w Niemczech, autor tłumaczy przez usta jednego z oficerów: „Pomyśl, jak ich wychowano : Czy mają oni pojęcie o tym, czym jest człowiek, albo prawa ludzkie? Jakże oni mają zrozumieć zasadę, że nawet zwyciężony wróg ma pewne prawa? Człowiek, któremu całe życie grożono brutalną siłą, użyje tej brutalnej siły natychmiast przy pierwszej sposobności, jaka mu się nadarzy". Takie zdania. dodaje autor, można było jednak usłyszeć tylko w pierwszej linii frontu.

Szczególnie trafne wydają się uwagi Koriakowa o Własowcach. Rozróżnia wśród nich dwa typy ludzi· ex-komsomolców i politruków, oraz prostych żołnierzy, którzy po dostaniu się do niewoli niemieckiej, wobec wyboru między śmiercią w obozie jeńców, a groźbą zemsty po powrocie do ZSRR (jeńcy w Rosji są traktowani jako zdrajcy), wybierali dziką rozpacz w szeregach Własowa. W sposób przenikliwy wykazuje Koriakow identyczność typu psychicznego i moralnego politruka i SS-manna. Kpt. SS w Kompanii propagandowej Własowców, nazwiskiem Parszyn, były wysoki komisarz sowiecki mówi do niego z autoironią: „Batiuszka Stalin nawet nie ma pojęcia, jak jego komuniści świetnie sobie tutaj dają radę"!

Obiektywizm i szczerość tej książki wynikają z nastawienia autora, który ani przez chwilę nie rezygnuje ze swego honoru żołnierskiego, z patriotyzmu głębokiego ale nie zaślepionego szowinizmem. Rozumie on tragiczną rzeczywistość sowiecką, ale umie też w sposób przekonywujący objaśnić jej źródła, konsekwencje i możliwości na przyszłość. Podkreśla zgubną rolę wychowania sowieckiego, które często wbrew intencjom, wykorzenia z duszy narodu sowieckiego wszelką moralność nawet tę, którą nazywają komunistyczną. Pisze on: „Reżym Stalina jest nie do pomyślenia bez olbrzymiej maszyny narzucającej jego wolę narodowi. Ale właśnie ta sama zasada przemocy jest wewnętrzną słabością stalinowskiego wychowania. Pragnie on bohaterów, a zamiast nich ma kruche pokolenie ludzi gotowych ukorzyć się przed pierwszym objawem siły i władzy czyjejkolwiek. Pragnie zaszczepiać w każdym obywatelu sowieckim ideały stalinowskiej rewolucji, a w rzeczywistości wychował pokolenie ludzi bez zasad, politycznie obojętnych. Głupia zarozumiałość i pewność siebie, chciwość i brak wszelkiej moralności stały się cechami charakterystycznymi dla pokolenia ery Stalina".

Nie ma nic bardziej fałszywego, niż przekonanie, rozpowszechnione na zachodzie, że naród rosyjski przeszedł drogę wiodącą od hołdowania Ikonom do czci czerwonych gwiazd. Nowi ludzie sowieccy nie mają w sobie wiary ani w gwiazdy ani w ikony, bo wierzą wyłącznie w samych siebie, we własne zdolności do wybicia się ponad innych. W umiejętność oszustwa i grabieży.

Koriakow kocha swój naród i nie traci nadziei w pokłady siły moralnej, która chwilowo przygnieciona jest komunistycznym terrorem. Wierzy w prostych, zwyczajnych ludzi, którzy na dnie duszy swej piastują tęsknotę do lepszego życia.

Jego własna postawa jest argumentem dla tych nadziei.

Zaufanie do tej spowiedzi młodego Rosjanina pogłębia jeszcze fakt, że nie jest on bynajmniej skłonny do łatwego zachwytu nad rzeczywistością świata zachodnio-europejskiego. Nie entuzjazmuje go ani amerykanizm ani burżuazyjny liberalizm francuski. „Ja nie wybrałem mówi on, tak jak Krawczenko — wolności. Wybrałem obowiązek". Decyduje się, by pozostać na zachodzie, ponieważ tu wśród przeciętnych ludzi odnalazł żywą wiarę chrześcijańską, która budzi w nim nadzieje na przyszłość i pewność lepszego życia. „Ocalenie nasze w Rosji, we Francji i na całym świecie zależy od odrodzenia religijnego, od sumienia chrześcijańskiego, które wyznacza kierunek naszej cywilizacji".

Oto ostateczna konkluzja nawrócenia.

Jan Olechowski

Pismo Prezydenta R.P. do Premiera Rządu R.P.

(PAT) — Londyn, 16 lutego 1949. Powierzając misję utworzenia nowego Rządu generałowi Tadeuszowi Bór-Komorowskiemu, Prezydent R. P. wystosował do niego w dniu 14 b.m. następujące pismo:

„Panie Generale!

Po przeprowadzeniu konsultacji ze Stronnictwami Politycznymi, uznającymi bez zastrzeżeń zasadę legalizmu, powierzam Panu Generałowi ponownie misję utworzenia Rządu.

Nie potrzebuję chyba przypominać iż dążeniem moim było i jest jak największe rozszerzenie podstawy politycznej Rządu przez powołanie do udziału w nim możliwie największej ilości stronnictw oraz organizacji społecznych stojących na gruncie niepodległości i całości Rzeczypospolitej Polskiej oraz legalizmu.

Uważam za swój obowiązek jednak przedstawić Panu Generałowi kilka uwag, jakie nasuwa mi baczne przyglądanie się pracy naszych dotychczasowych rządów na uchodźctwie. Czynię to w przekonaniu, że wielu niedomagań możnaby uniknąć uzgadniając z góry z kandydatami na ministrów pewne zasady postępowania. Do niedomagań, których tą drogą możnaby uniknąć, należy:

1. Brak koordynacji między resortami rządowymi. Powoduje on wykonywanie tych samych czynności przez różne ministerstwa, co pociąga za sobą niepotrzebne wydatki, a czasem doprowadza do walk pomiędzy poszczególnymi dykasteriami ku oburzeniu opinii publicznej i obniżeniu autorytetu Rządu.

2. Prowadzenie rozbieżnych akcji przez poszczególnych ministrów na terenie międzynarodowym, co wywołuje często dezorientację wśród cudzoziemców.

3. Zaniedbywanie utrzymywania kontaktu ze społeczeństwem.

Uważam również, że wobec ciężkich warunków finansowych, w jakich się znajdujemy, ilość urzędów powinna być wydatnie zmniejszona i nowi ministrowie powinni z góry być przygotowani na konieczność wielkich oszczędności przez zmianę systemu urzędowania i dostosowania go do obecnych warunków.

Wreszcie — wobec jednomyślnego niemal życzenia opinii publicznej uważam, że natychmiastowe powołanie Rady Narodowej powinno być czołowym zadaniem przyszłego Rządu.

W nadziei, że uda się Panu Generałowi uzyskać potrzebne poparcie dla szybkiego utworzenia Rządu na powyższych zasadach, życzę Panu powodzenia i łączę wyrazy, itd.

(—) August Zaleski

BOLESŁAW TABORSKI — DYSKUSJE

O ARTYKULE DYSKUSYJNYM SŁÓW KILKA

SŁUSZNIE zaznaczyła redakcja „ŻYCIA" drukując w nrze 5/84 artykuł p. W.A. Zbyszewskiego **„Gdzie może się zacząć renesans katolicki"** iż jest to artykuł dyskusyjny. Obok bowiem szeregu trafnych i nie nasuwających wątpliwości uwag, nie brak też i takich, wobec których można mieć pewne zastrzeżenia. Nie są to może rzeczy istotne, ale skoro redakcja sama myśl o dyskusji niejako poddała, niech cierpi i przyjmuje wypowiedzi czytelników.

Stwierdza autor, że Francja w XIX w. „ożywiła skostniały katolicyzm" i łączy to z określeniem Francji jako „kraju wybitnie klerykalnego, w szczególności za II cesarstwa". Otóż faktem jest. że w czasie rewolucji 1848 r. wśród katolików przeważały owe odrodzeńcze prądy. Stąd katolicyzm cieszył się wielkim uznaniem w szeregach rewolucjonistów. Niestety zapały rychło przeminęły (o powodach dużoby mówić) i pojęcie katolicyzmu skojarzyło się z pojęciem konserwatyzmu, a więc skostnienia. Nie można oficjalnego klerykalizmu Napoleona III łączyć z odrodzeniem katolicyzmu francuskiego. Przeciwnie, ów megaloman wpakował kościół w konserwę. Brak wypracowania programu społecznego przez katolików oraz klerykalny szyld Napoleona spowodował właśnie to, co się stało po upadku jego reżymu: — groźną falę antyklerykalizmu. Moim zdaniem okres ten dowodzi właśnie tego, co sam p. Zbyszewski podkreśla omawiając sytuację obecną niektórych zachodnioeuropejskich krajów: bezowocności wysiłków Kościoła stawiania na oficjalne katolickie czy klerykalne partie, dzierżące władzę polityczną.

Inną nieścisłością p. Zbyszewskiego jest (uczynione nawiasowo drogą porównania) określenie kontrreformacji mianem mało dynamicznego fideizmu. Nic bardziej fałszywego! Przede wszystkim okres kontr-reformacji jest jedynym okresem rozkwitu myśli katolickiej od połowy XV do drugiej połowy XIX wieku (żeby wspomnieć tylko Suareza). Reformacja wydobyła z ospałości zarówno filozofię jak i teologię katolicką. O fideiźmie mówić można grubo później, nie w okresie potrydenckim. Jeśli chodzi o dynamizm, wystarczy powiedzieć, że kontr-reformacja musiała być dynamiczna, skoro zachowała dla katolicyzmu wielką połać Europy mimo bezsprzecznej prężności ówczesnego protestantyzmu. Wystarczy wspomnieć okres męczeństwa w Anglii, dysput w Polsce, by uświadomić sobie, jak bardzo były dynamiczne obie strony.

Trudno nie nazwać ryzykownym twierdzenia, że fakt słabnięcia religii protestanckich — a dodam od siebie że i Islamu (Turcja) — jest okolicznością korzystną dla Kościoła. Na miejsce bowiem wiary — wszystko jedno jaka ona jest — wchodzi nie katolicyzm lecz ateizm. Nigdy nie zgodzę się z tezą, że Kościół woli mieć do czynienia z ateistami, niż z wieloma kościołami. P. Zbyszewski motywuje to tym, że istnienie wielu Kościołów osłabia „poczucie potrzeby i pożyteczności Kościoła powszechnego". Może to i prawda, ale ateizm osłabia poczucie potrzeby i pożyteczności **jakiegokolwiek** Kościoła. Nie jest to bowiem ateizm wojujący, bo taki znajdzie drogę do wiary (kto walczy z Bogiem już przyjmuje Jego istnienie), ale jest to ateizm obojętny, a w tym wypadku sprawa jest prawie beznadziejna. Ludzie dotknięci tą ułomnością (gdyż jest to ułomność polegająca na zaniku zmysłu religijnego) są dylematem dla każdego kto się para apostolstwem. Człowiekowi ślepemu, o zamarłym nerwie wzrokowym napróżno będziemy ukazywali najpiękniejsze widoki, aby przekonać go o użyteczności wzroku. Obojętnego ateistę nie przekonają żadne argumenty o istnieniu Boga, bo nie posiada aparatu odbiorczego na ich przyjęcie. Bóg może zdziałać wszystko i w jednym i drugim wypadku i trzeba Go błagać o pomoc gdyż „ten rodzaj żadnym sposobem wyjść nie może jeno przez modlitwę i post „(Mar. 9,28). Trudno w takim razie uważać proces zamiany protestantyzmu i islamu w obojętny ateizm za zjawisko dodatnie; chyba w tym znaczeniu, że zachęca nas to do tym większych wysiłków i gorliwości w praktykach. Ale przecież ten skutek dodatni jest tylko zjawiskiem wtórnym.

Dalej kwestionowałbym zdecydowanie twierdzenie dra Zbyszewskiego, że liczba praktykujących katolików w krajach nominalnie katolickich wynosi zwykle około jednej trzeciej ogółu ludności. Stosunek taki przyjąć można jedynie dla Francji. We wszystkich innych katolickich krajach Europy odsetek rzeczywistych wyznawców przekracza połowę, a w Polsce dwie trzecie ogółu ludności. Oczywiście fakt ten nie zmienia postaci rzeczy jeśli chodzi o znaczenie katolików w krajach, gdzie są oni mniejszością i na tym punkcie — jak i w wielu innych — zgadzam się z p. Zbyszewskim. Wydaje mi się tylko, że p. Zbyszewski zbyt optymistycznie zapatruje się na możliwości katolicyzmu w Stanach Zjednoczonych. Zastanawiające były niedawne ostrzeżenia na łamach ŻYCIA jednego z księży polskich przebywających w USA. Entuzjastom Ameryki radzę jeszcze parę razy dobrze ów artykuł przeczytać. Nie zapominajmy, że Stany Zjednoczone są krajem skrajnego kapitalizmu, oddanym bez reszty kultowi pieniądza. Niewdzięczna to rola pod żniwo Kościoła.

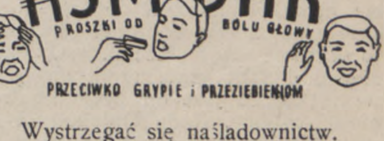
Jest to także kraj o ogromnej ilości ateistów obojętnych (50% ludności to ateiści obojętni otwarcie, nie wpisani nawet formalnie w poczet jakiegoś wyznania). Nie mam bynajmniej zamiaru pomniejszać znaczenia Kościoła w Ameryce, ale również nie spodziewam się od niego złotych gór, gdyż Kościół ten jest w trudnym położeniu i ciężką toczy walkę — przeciwko dwom tak potężnym przeciwnikom jakimi są: materjalizm hedonistyczny (podobnie jak ateizm dużo groźniejszy od materializmu wojującego) oraz ateizm obojętny (można go nazwać agnostycyzmem jeżeli kto woli). Życzymy Kościołowi amerykańskiemu jak najlepiej i bardzo byśmy chcieli by do XXI w. jego „fatalna siła" przerobiła Yankesów na nie tyle aniołów, ile na pełnych ludzi, ale musimy zdawać sobie sprawę z tego, że jest to przedsięwzięcie trudne i nie nastąpi już jutro.

Nie wiem, czy słuszne jest niedocenianie wpływu prześladowań Kościoła na rozwój katolicyzmu w danym kraju. Jeśli dwa zjawiska występują obok siebie nie świadczy to bynajmniej o tym, że są one powiązane przyczynowo. W Hiszpanii i Niemczech prześladowaniom nie towarzyszył rozkwit katolicyzmu, ale to nie dowodzi, że nie nastąpi on w Polsce. Kto jest w dobrym kontakcie z Krajem ten wie, że życie katolickie w Polsce rozwija się coraz lepiej, mimo wszelkich trudności, a może dzięki nim. Jeśli chodzi o Anglię, stwierdzono niejednokrotnie, że katolicy angielscy wciąż jeszcze korzystają z kapitałów, nagromadzonych przez wieki prześladowań.

(Na zakończenie drobiazg w nawiasie: Niezbyt przypadło mi do gustu dziwne słowo „neglegować". Czy nie dałoby się zamiast tego powiedzieć: „lekceważyć", „nie brać w rachubę?" Czytelnicy nie mieliby wówczas wrażenia, że czytają... pismo polskie, wydawane w Stanach Zjednoczonych).

Pragnąłbym stwierdzić, że artykuł p. Zbyszewskiego był interesujący. Miał tę rzadką zaletę, że pobudzał czytelnika do myślenia — był naprawdę artykułem dyskusyjnym.

Bolesław Taborski



ANTONI WESTFALSKI

LIST Z NOWEJ ZELANDII

CZY DZIECIOM POLSKIM GROZI WYNARODOWIENIE?

PO z górą czteroletnim istnieniu osiedle polskie w Pahiatua ulegnie wkrótce likwidacji.

Polska szkoła powszechna została już zamknięta. Przy rozdawaniu dzieciom nagród publiczność w 95% polska wysłuchać musiała czterech przemówień (z nich trzy w języku angielskim a jedno tylko po polsku) w których dziękowano w ciepłych słowach nowozelandzkim nauczycielom za pracę wymieniając każdego z osobna. **Nauczycielom polskim, natomiast, dostało się pod koniec jedno zdawkowe grzecznościowe zdanie.** Nic to, że większość tak dyskretnie przemilczanego personelu polskiego uczyła dzieci jeszcze w Persji a więc sześć lat conajmniej nic to że wśród imiennie wyszczególnionych nauczycieli nowozelandzkich, jedna młoda osoba tylko trzy miesiące uczyła, a pewien młody człowiek znany był ze swych antypolskich wystąpień — grzeczność widocznie wymagała przemilczenia zasług nauczycielstwa polskiego, a podkreślenia u Nowozelandczyków.

Takie to były ostatnie chwile polskiej szkoły w Pahiatua. Doczekamy się wkrótce ostatnich chwil osiedla.

Po wielu trudnościach i dłuższym okresie niepewności udało się jednak zapewnić umieszczenie najmłodszych dzieci w ilości około 90 w dwóch polskich bursach conajmniej na rok jeszcze. Zaniepokojenie opinii publicznej polskiej losem tych dzieci okazało się tu bardzo pomocne. Ale reszta: ponad 600 dzieci i młodzieży częściowo już pracującej, częściowo jeszcze szkolnej, rozrzucona będzie po całym kraju.

Kto się nimi opiekować będzie?

Z ramienia polskiego — nikt.

Z ramienia władz nowozelandzkich tak zw. **„officer in charge of Polish affairs"**, czyli urzędnik do spraw polskich.

Owym urzędnikiem do spraw polskich jest osoba narodowości nie polskiej, choć polskie nazwisko nosząca.

Jest też Rada Opiekuńcza z pięciu członków złożona.

Sądząc z nazwy Rada ta winna opiekować się dziećmi. Opiekuje się nimi faktycznie rząd, dając im wszystko, co jest do życia koniecznie potrzebne. Rada Opiekuńcza nie daje nic, nawet drobnych upominków świątecznych. Są ludzie dobrej woli, którzy zbierają datki dla dzieci polskich, ale ludzie ci do Rady Opekuńczej nie należą i z nią nie współpracują. Wśród dzieci kilkoro odznacza się wybitnymi zdolnościami do rysunku, malarstwa lub muzyki. Czyż Rada Opiekuńcza nie powinnaby zająć się nimi ułatwiając im rozwój naturalnych zdolności? Rada jednak takimi drobiazgami zajmować się nie może. Ma ona ważniejsze zadania. Głównym jej celem jest nie wypuszczenie dzieci z Nowej Zelandii ani do Polski ani nawet dla innych krajów. Sekunduje jej w tym gorliwie Urzędnik do spraw polskich.

Istnieją dwie kategorie dzieci mające w teorii prawo powrotu do Polski: dzieci, które odnalazły w Polsce rodziców (jest takich jeszcze około 120) i młodzież ponad lat 18. Oficjalnie głosi się, że dzieci mają pełne prawo powrotu do rodziców. **Jest to przecież zgodne z prawem naturalnym i Boskim, by dzieci do rodziców wracały, o ile rodzice sobie tego życzą. nawet przy istniejących obecnie w Polsce warunkach.**

Z tym wszyscy zgadzają się w zasadzie. Ale gdy chodzi o zastosowanie owej zasady, w życie zaczynają się piętrzyć trudności. Po śmierci ostatniego delegata polskiego, kurs został jeszcze bardziej zaostrzony. Gdy ojciec lub matka piszą z Polski o przysłanie im dziecka, najczęściej nie wiedzą o tym, że podpis ich winien być uwierzytelniony. Rada Opiekuńcza bowiem i Urzędnik do spraw polskich są nieufni, węszą wszędzie oszustwo. Zapewnienie dziecka, nieraz 16 czy 17-letniego. że to jest istotnie podpis ojca lub matki nie wystarcza. Podpis musi być urzędowo zatwierdzony. Jakiż jest więc los podania nie zaopatrzonego w uwierzytelniony podpis? Idzie ad acta, a rodziców zawiadamia się, że należy przysłać pismo o bardziej urzędowym charakterze. Tymczasem rozpoczyna się dłuższy, należycie wykorzystany, okres oczekiwania. Puszcza się maszynę w ruch pisząc do rodziców z przedstawieniem świetnych warunków w jakich dziecko się wychowuje, zachęca się je do pozostania, **przedstawiając, jak mu tutaj dobrze, lub strasząc Syberią, zależnie od wypadków.** Czyżby nie było rozsądniej, by dziecko jeszcze lat kilka pozstało? A później nikt mu zabraniać nie będzie powrotu do Polski, odeśle się je rodzicom na koszt Państwa.

Takie i temu podobne argumenty działają, paczki wysyłane rodzicom też działają i po kilku miesiącach przychodzi często upragniona zmiana: albo dziecko jechać stanowczo nie chce i postanawia odłożyć wyjazd do... ukończenia studiów lub do chwili uzbierania większego zapasu gotówki, albo rodzice piszą, że skoro dzieciom tak jest w Nowej Zelandii dobrze, zgadzają się na ich czasowe pozostanie. Ale **rodzice nie zdają sobie sprawy** z tego, że w ciągu tych kilku lat „czasowego pozostania" **dziecko może się wynarodowić,** że obecnie po zamknięciu osiedla i wynikającego stąd coraz luźniejszego kontaktu między Polakami, **dziecko prawie napewno się wynarodowi.** O tym rodzice nie wiedzą. **Są jednak tacy, co o tym wiedzą i do tego dążą.**

Jeśli zaś zdarzy się, że rodzice przyślą zawezwanie zaopatrzone we wszystkie niezbędne podpisy i pieczęcie, to i wówczas stosuje się system zwłoki, radząc dziecku, by narazie jeszcze nie jechało. Podsuwa się myśl, że rodzice zostali podmówieni, zmuszeni może do wystąpienia o sprowadzenie dziecka. Trzeba więc napisać i zbadać, jak jest w rzeczywistości. I znów puszcza się w ruch maszynę. Idą listy, czas upływa.

Rada Opiekuńcza mająca dzieciom naszym zastąpić rodziców na czas ich pobytu w Nowej Zelandii składa się z trzech Nowozelandczyków i dwóch tylko Polaków, przy czym prezesem jej jest nowozelandzki katolicki ksiądz. A więc opiekunami dzieci w stu procentach polskich w większości są nie Polacy. Nawet kapelan polski, który z racji swych funkcyj powinien do Rady należeć, nie jest do niej dopuszczony. Rezultatem takiego stanu rzeczy jest fakt, że wszystko rozstrzyga się w Radzie pod kątem widzenia nowozelandzkiej większości.

Ciekawą oznaką tendencyj założycieli Rady może być następujący szczegół: choć w tekście polskim statutu Rady istnieje zdanie: „Stąd wynika obowiązek opiekunów uwzględnienia w wychowaniu tych małoletnich ich przynależności do Narodu Polskiego jak to niewątpliwie czyniliby naturalni ich rodzice", to **zdanie powyższe zostało opuszczone w tekście angielskim.** Jest ono więc tylko pięknie brzmiącym frazesem wstawionym po to jedynie, by zamydlić oczy i uśpić sumienia polskich członków Rady.

Rada Opiekuńcza dzieci w stu procentach katolickich składa się z czterech katolików i jednego niekatolika. To też gdy kapelan polski prosi Radę o uwzględnienie tego czy innego postulatu wychowania katolickiego, np. o nie oddawanie dzieci na wakacje lub na stałe do pewnych nie katolickich rodzin, to sprawy takie nie są ze względu na obecność niekatolickiego członka na zebraniach Rady omawiane, a tylko po kątach, prywatnie. To pokątne załatwianit spraw tyczących wychowania katolickiego nie zawsze wychodzi dzieciom na dobre. Niedawno dziesięcioletnia dziewczynka mająca matkę w Polsce została na stałe oddana w opiekę niekatolickiej rodziny za zgodą Rady Opiekuńczej.

Gdy kapelan polski zapytał się prezesa Rady, czy stało się to za zgodą matki dziecka, otrzymał potwierdzającą odpowiedź. Gdy dalej indagując zapytał, czy list matki wyrażający zgodę został Radzie przedstawiony, odpowiedział mu ksiądz-prezes, że nie, bo przecież należy wierzyć owej niekatolickiej rodzinie na słowo. Rada Opiekuńcza, która, gdy chodzi o wysłanie dziecka do rodziców w Polsce, zwykła każdy list pilnie badać wymagając stwierdzenia autentyczności podpisu rodziców, tym razem gdy chodziło o oddanie polskiej i katolickiej dziewczynki na wychowanie do domu nie polskiego i nie katolickiego, odstąpiła od swych chwalebnych zwyczajów i nie tylko, że nie zażądała urzędowego od matki pisma, ale nawet nie wymagała przedstawienia sobie jej prywatnego listu.

Ciekawą działalność Rady Opiekuńczej na polu obrony narodowości i wiary naszej młodzieży wyrazić jeszcze można w paru charakterystycznych faktach, jak np.: nie udzielenie kilka lat temu zgody dziewięciu chłopcom na wyjazd do Stanów, gdzie mieli zapewnioną naukę w polskim seminarium duchownym, skutkiem czego siedmiu z nich straciło już powołanie, oraz tendencyjne zwlekania z wyrażeniem zgody na wyjazd dwóch chłopców do Polski. Chłopcy ci, choć rodziców nie mają, to jednak odnaleźli niedawno dziadka i babkę, którzy z prawa naturalnego rodziców im zastępują. Dziadkowie pragną mieć wnuków, mają środki na ich utrzymanie, przysłali wszystkie potrzebne dokumenty. Rada Opiekuńcza i Urzędnik do spraw polskich wiedzą jednak, że zwłoka, to najlepsza metoda. Czas wszystko leczy, wszystko goi, wszystko zaciera, nawet tęsknotę za dziećmi, za wnukami, i może jakoś się to po kościach rozejdzie.

Rozporządzeniem premiera Frazera wydanym kilka miesięcy temu młodzież polska powyżej 18 lat może stanowić o swoich dalszych losach i gdyby wyraziła chęć powrotu do Polski, będzie odesłana na koszt Państwa, przy czym zgoda Rady Opiekuńczej jest już w tym wypadku zbędna. Nie wiele jest kandydatów na wyjazd do Kraju w obecnym stanie rzeczy, są jednak tacy, co pragną wracać już to do rodziców, już to do bardzo bliskch krewnych. Czują się tu obco, ciąży im brak własnego ogniska domowego, wieczne pętanie się po cudzych domach, wycieranie cudzych kątów w przykrych nieraz warunkach. Trudno się im dziwić i, skoro pragną połączyć się z bliskimi i uczciwą pracą we własnym kraju na życie zarabiać, choćby nawet w trudnych na razie warunkach, nie można im tego bronić.

Rozumie to premier do nas od początku życzliwie usposobiony. Rada Opiekuńcza nie ma w tym wypadku zasadniczego głosu. Ale Urzędnik do spraw polskich czuwa. Każde dziecko, o ile wyraża chęć wyjazdu, jest przez niego badane. A któreż z naszych dzieci potrafi oprzeć się w rozmowie z nim w cztery oczy, jego argumentacji i potokowi słów, czarującemu podejściu lub, w razie potrzeby, surowym, w tonie ostrzegawczym wyrażonym przestrogom? I dziecko wychodzi pod wrażeniem rozmowy, pod urokiem przyjęcia, zmiażdżone argumentami, nastraszone konsekwencjami wyjazdu. Zaczyna ono wierzyć, że może istotnie wygodne życie, względny dostatek, ładna sukienka, motocykl, wyścigi i conajmniej raz na tydzień kino — to rzeczywiście szczyt szczęścia, szczyt marzeń, to cel życia człowieka. Czym że jest wobec tego tęsknota za rodzicami, czym bracia lub siostry? Marnością... niknącą, roztapiającą się we mgle oddalenia.

I dziecko zaczyna wierzyć, że dobrze mu w Nowej Zelandii.

A czy rzeczywiście dzieciom naszym jest dobrze w Nowej Zelandii?

Rząd Nowej Zelandii i społeczeństwo otoczyli dzieci nasze niezawodnie troskliwą opieką, dając im wszystko, co jest do życia niezbędne, zapewniając im wykształcenie, ułatwiając otrzymanie pracy. Należy się im za to z naszej strony prawdziwa wdzięczność. Obóz w Pahiatua — to wzorowe polskie osiedle ze swym kościołem, szkołą, szpitalem, biblioteką i świetlicą. Ale to wzorowe osiedle polskie kurczyło się stale wyrzucając z siebie co rok część dzieci w świat, obecnie zaś istnieć przestaje.

A poza obozem jest całkiem inaczej.

Dziecko przywykłe do polskiego otoczenia, do polskich nabożeństw, śpiewu, kazań i spowiedzi po polsku, musi opuszczać obóz raptownie dostosować się do innych warunków, do obcych zwyczajów kosztem ciężkich, bolesnych przeżyć wewnętrznych. Objawy polskiego życia religijnego nie zawsze są poza obozem tolerowane. Gdy polskie dziewczęta pracujące w Wellingtonie pragnęły założyć własną sodalicję mariańską, zostało im to zakazane. W obozie dzieci mówią między sobą po polsku tylko, poza obozem zdarzają się wypadki, że dzieciom **władze szkolne zabraniają mówić po polsku** lub przynajmniej bardzo na to niechętnym okiem patrzą, twierdząc, że rozmowa po polsku przeszkadza dzieciom w przyswojeniu sobie języka angielskiego. Nie wiele dzieci szkolnych mieszka w internatach, większość rozmieszczono w bursach polskich lub po domach prywatnych. A w domach tych bywa bardzo różnie, czasem dość dobrze, czasem źle. Czytanie polskich książek, rozmowa po polsku nie wszędzie się podoba. Niekiedy wykorzystuje się dziecko polskie poza granice przyzwoitości. Pewna dziewczynka mieszkała u jakiejś pani mającej pensjonat. Mała musiała wstawać o piątej z rana, robić porządki, zanieść gościom herbatę do łóżka, potem iść do szkoły. Po powrocie ze szkoły przygotowywała wieczorny posiłek, myła talerze, wreszcie zasiadała do odrabiania lekcyj, tak że nie szła spać przed jedenastą w nocy. A przecież nie była ona na łaskawym chlebie u tej pani, lecz rząd za nią płacił.

W większych miastach jak Wellington, Auckland, Christchurch i innych dzieci nasze mają opiekunów, przeważnie księży, załatwiających im sprawy szkolne i mieszkaniowe, mających na nimi ogólny nadzór. Opiekunowie ci (nie mają oni nic wspólnego z Radą Opiekuńczą) przejawiają naogół wiele zainteresowania się naszą młodzieżą i dają dowody prawdziwej troskliwości z wyraźną jednak tendencją do przyśpieszenia procesu asymilacyjnego. Taki ksiądz, jak w New Plymouth, szczerze do naszej młodzieży przywiązany, rozumiejący jej prawa do polskości i do ewentualnego powrotu kiedyś do Ojczyzny, należy do wyjątków. Społeczeństwo nowozelandzkie wsysa nasze dzieci w swój organizm. Miraż materialistycznej kultury działa, pociąga, mami. Dzieci nasze tak odbijają od innych, tyle w nich prostoty, szczerości i radości życia, że pociągają one ku sobie ludność miejscową, która pomimo urzędowych zapewnień, że dzieci polskie są uchodźcami a nie emigrantami, są gośćmi czasowo tu przebywającymi, dąży ku temu, by je jak najprędzej wchłonąć.

Razu pewnego przełożona jednego zakładu przyznała się, że dziewczynki polskie wniosły do jej szkoły nieznaną dotąd atmosferę pogody i wesołości.

— „Co za szczęśliwa wina, która dzieci polskie do nas sprowadziła", rzekła kończąc rozmowę.

Co za szczęśliwa wina! O felix culpa!... Ale wina ta szczęśliwa czy nieszczęśliwa jest właśnie przyczyną dla której dzieci polskie odnoszą się nieufnie, niechętnie do rasy, na której sumieniu owa wina także ciąży.

Nowozelandczycy dziwią się nieraz, dlaczego dzieci nasze tak za Polską tęsknią, do Polski chcą wrócić, o Polsce marzą, choć jej prawie nie pamiętają. Czyż nie jest im dobrze w Nowej Zelandii? Czyż nie są syte i ubrane? Czyż nie powinny być szczęśliwe, „happy"? Dzieci nasze czułyby się może szczęśliwe, gdyby były zwykłymi zjadaczami chleba. Ale dzieci polskie nie są zwykłymi zjadaczami chleba. Nie jednym chlebem człowiek żyje. Chleb powszedni, ładna sukienka, kino — nie są wszystkim. Nie zawsze, być może, to rozumieją przedstawiciele zachodniego, zmaterializowanego świata, — rozumie to młodzież polska.

Pod względem wychowania religijnego niczego zarzucić nie można. Kościół otacza dzieci nasze swą troskliwą opieką. Są i tu, rzecz jasna, niedociągnięcia i rysy, jak we wszystkim co ludzkie. Katolicy wyrażają zdziwienie, że młodzież polska za mało bierze udziału w życiu parafialnym organizacyj katolickich, za mało się łączy z resztą społeczeństwa katolickiego. Jedną z przyczyn tego objawu jest nieufność młodzieży polskiej, dopatrującej się nie bez podstaw w owym nacisku do łączenia się z miejscowymi katolikami nie tylko gorliwości w służbie Bożej ale i innych celów. Owa dwoistość celów jest właśnie przyczyną rezerwy z jej strony.

Pomimo jednak troskliwej opieki, jaką katolicy dzieci nasze otaczają, niebezpieczeństwo utraty wiary istnieje i nie należy go lekceważyć. Dzieci czy to w czasie wakacyj, czy też w ciągu roku szkolnego, mieszkając nieraz w domach protestanckich lub w nich przebywając, gorszą się słysząc rozmowy, patrząc na to, co się wokoło dzieje. Zdarzają się wypadki gdy dziecko po kilka tygodni nie jest na mszy św. z braku benzyny, ale za to nie brak benzyny, by zawieść je do kina. Gdy pewna dziewczynka prosiła o pojechanie do kościoła na spowiedź, powiedział pan domu, żeby się jemu wyspowiadała, bo jest takimże jak ksiądz człowiekiem. W innej rodzinie śmiano się z chłopców odmawiających pacierz przed i po jedzeniu. Gdzie indziej znów pani domu nie chciała pozwolić dziewczynce prać bielizny w sobotę, lecz zmuszła ją do prania w niedzielę itd. Dzieciom naszym grozi może na dłuższą metę niebezpieczeństwo utraty wiary. Niektórzy Polacy ze starej emigracji przeszli już na protestantyzm. Pierwszym etapem była utrata narodowości, drugim utrata wiary. To też **ażeby uchronić dzieci od utraty wiary, należy je bronić przed wynarodowieniem.**

Na obczyźnie polskość — to puklerz chroniący wiarę katolicką.

Tym spośród polskich dzieci, które na czas dłuższy w Nowej Zelandii pozostaną, grozi, pomimo ich świetnej dotychczasowej postawy, wynarodowienie, **z powodu braku opieki na nimi ze strony polskiej.**

Dalszą zaś konsekwencją wynarodowienia łatwo być może utrata wiary.

Na razie na drodze do wynarodowienia są te dziewczęta, które wychodzą za mąż za Nowozelandczyków, z chłopców zaś ci przeważnie, co na farmach pracują. **Chłopieją** oni i zapominają mówić po polsku.

Gdyby dziś nastały warunki pozwalające na powrót do Polski, możeby jeszcze 90 lub nawet 95% dzieci wróciło do kraju. Z każdym jednak rokiem procent ten będzie malał. Należy się z tym liczyć, że po zamknięciu osiedla szybkość procesu wynaradawiania ogromnie się zwiększy. Trudno przewidzieć, jak znaczne szczerby jeden rok porobi.

Czas bowiem i ludzie przeciwko nam pracują.

A. Westfalski

25 stycznia 1949 r.

ŻYCIE, KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO - SPOŁECZNY
Wydawca:
VERITAS FOUNDATION PUBLICATION CENTRE
Redaguje Komitet pod przewodnictwem ks. T. Kirschke.
Adres redakcji i administracji:
POLISH WEEKLY „ŻYCIE" — 12, Praed Mews, London, W.2
Telefon: AMB. 6879
Redaktor przyjmuje: po uprzednim telefonicznym porozumieniu.
Administracja czynna: codziennie od godz. 9 do 13 i od 14 do 17 z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt.
Prenumerata: płatna jest z góry i wynosi miesięcznie 3/6, kwartalnie 10/-
Wszelkie wpłaty: przekazywać należy Postal — lub Money orderami wzgl. czekami bankowymi „crossed" i wystawionymi na **VERITAS FOUNDATION PUBLICATION CENTRE. Ceny ogłoszeń:** 1 cal przez 1 łam £ 1. W tekście 50% drożej, na stronie tytułowej 100% drożej. Za treść ogłoszeń nie przyjmuje się odpowiedzialności. **Do zbierania ogłoszeń upoważniona jest wyłącznie:** f-ma THE CARLTON BERRY CO LTD., Grand Buildings-Trafalgar Square, London, W.C.2. Telefon ABB 5108.

Printed by: „Veritas Foundation Press"
12, Praed Mews, London, W.2. Tel. PAD. 9734.